DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 46.] SOBOTA 21. STYCZNIA 1911. [Rocznie.....10 K (4 Rb., 8 Mk. Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Męty.

W czasie ostatniego przesilenia ministeryalnego nastała nagle taka chwila, w której na samo czoło wysunęła się sprawa t. zw. połączenia żywiołów demokratycznych. To była sprawa najważniejsza, nad wszystkiem innem górująca. W kraju i w Wiedniu, ktośkolwiek zapytany, co też robi polityka polska, co robią politycy polscy wobec przesilenia ministeryalnego, z którem wiązało się sporo interesów narodowych nie tylko gospodarczych ale i politycznych, musiałby odpowiedzieć: zabiegają około połączenia się żywiołów demokratycznych. I aż wrzało od tej roboty. Pierwsze zebrania porozumiewawcze w kawiarni w Wiedniu zaraz po otwarciu przesilenia ministeryalnego, potem bardziej już uroczysty zjazd demokratycznych żywiołów wszystkich trzech grup w Krakowie d. 2. stycznia b. r., naokoło tego pojednawcze artykuły w pismach ludowych i w miejskich, jazdy prezydyów demokratycznych do Wiednia i tam dalsze układy, jednem słowem przez kilkanaście dni ciągle wiszące pytanie: „będzie z tego czy nie będzie?"

Dzisiaj piękna ta myśl połączenia szlachetnych naszych żywiołów demokratycznych należy, jak na ten raz, do historyi. Nie chwyciło. Odrazu, przed dwoma tygodniami, przedstawiały nam się te zabiegi jako gra polityczna i komedya obliczona jedynie na rozmaite widoki przesileniowe i rzeczywiście natychmiast po załatwieniu przesilenia wszystko prysło. Ale dzieje tych zabiegów, duch jaki z nich tchnął, hasła jakie w ich imię rzucano krajowi, widowisko jakie przez nie dano obcym, wszystko to jest bardzo zajmujące, bardzo pouczające, bardzo znamienne.

— — — — — — — — — — — —

Jak się zaczęły układy? *Ojczyzna*, ludowe pismo demokratyczno-narodowe, powiada (w nr. z d. 8 stycznia b. r.): „Na kilka dni przed świętami, zgłosił się do wszechpolaków prezes ludowców, Jan Stapiński. Oświadczył, że ma już dość sojuszu z konserwatystami, a za to pragnie zgody stronnictwa ludowego ze stronnictwem wszechpolskiem". Znacznie obszerniej i szczegółowiej opowiada o tem w *Przyjacielu Ludu* (z d. 15. stycznia) w artykule p. t. „Jak to było?" p. poseł Michał Olszewski, podpisany pełnem imieniem: „Było to w parlamencie w połowie ubiegłego miesiąca grudnia. Wychodziliśmy z posiedzenia Koła Polskiego, po obwieszczeniu ustąpienia ministerstwa. Na skręcie kurytarza zagadnął poseł wszechpolski hr. Skarbek prezesa Stapińskiego w te słowa: „Panie prezesie, możebyśmy teraz pogadali". Na to prezes Stapiński odpowiedział: „Dlaczego nie, mówić możemy". I oznaczyliśmy zaraz czas i godzinę rozmowy na następny dzień. Taki był początek układów między ludowcami a wszechpolakami. Na drugi dzień odbyło się posiedzienie klubu P. S. L. w parlamencie. Prezes Stapiński podał do wiadomości zaproszenie hr. Skarbka. Klub nasz po naradzie przyzwolił na układy, a zarazem wybrał do tego osobną komisyę, złożoną z trzech: prezesa Stapińskiego, marszałka Ruebenbauera i mnie. Klub wszechpolski zaś udzielił pisemne pozwolenie na rokowania z ludowcami posłom: Ptasiowi, Buzkowi i hr. Skarbkowi. Zebraliśmy się tak w sześciu..." A w dalszym ciągu powiada p. Olszewski: „A teraz porównajcie to z doniesieniami p. Grabskiego w *Ojczyźnie* wszechpolskiej, a przekonacie się, jak to potrafią ludzie kłamać! P. Grabski twierdzi, że my ludowcy prosiliśmy wszechpolaków o zgodę. Otóż jest to wierutne kłamstwo. Nie od nas wyszedł początek, nie było mowy o żadnej zgodzie, tylko o współdziałaniu w Kole Polskiem". Kto tu mówi prawdę, któż docieknie? I w *Przyjacielu Ludu* i niestety także w *Ojczyźnie* kłamią i kręcą jak z płatka. Zresztą mniejsza o to. Ostatecznie wiadomo, że po wybuchu przesilenia p. Stapiński nie mógł się spodziewać, aby ludowcom cośkolwiek się dostało bez jakiejś nowej kombinacyi, a z drugiej strony demokraci narodowi musieliby się liczyć z pogróżkami p. Stapińskiego, odrazu ogłoszonemi w prasie wiedeńskiej, że będzie do upadłego zwalczał wszelką kombinacyę bez ludowców. Bąknięto coś z jednej strony, bąknięto z drugiej i wnet zaczęły się układy.

Do czego zmierzały pierwsze układy? Owych sześciu posłów zebrało się podobno w kawiarni na Josefstadt (jak doniół korespondent wiedeński *Dziennika Polskiego* d. 28. grudnia), a z przedstawienia p. Olszewskiego wynikałoby, że naradzano się przez trzy dni, od środy do piątku 14—16 grudnia, a więc rzeczywiście natychmiast po otwarciu przesilenia, które ogłoszone zostało d. 13. grudnia. Wedle p. Olszewskiego treść tych pierwszych układów między samymi posłami była następująca: „Zebrawszy się tak w sześciu rozpatrzyliśmy stosunki w Kole Polskiem i przyszliśmy do przekonania, że tylko przez porozumienie się tych dwóch klubów, ludowego i wszechpolskiego, możnaby stworzyć w Kole Polskiem

większość zwartą, zdolną do kierownictwa. W ciągu dalszych trzechdniowych narad ustaliliśmy warunki konieczne dla porozumienia. Warunki te były: prezesem Koła Polskiego ma być demokrata, ministrem robót publicznych ludowiec Kędzior, dla dopilnowania sprawy kanałów wodnych, a dr. Głąbiński w imieniu wszechpolaków ministrem dla Galicyi. Na tem stanęło w piątek". Odbiciem tych układów i różnych kombinacyi jakie tam wówczas krążyły, była również rozmowa p. Stapińskiego z redaktorem *Nowin* ogłoszona d. 27. grudnia i stwierdzająca, że p. Głąbiński winien otrzymać tekę ministeryalną, a ludowcy bądźto prezesurę Koła Polskiego w osobie p. Stapińskiego, bądźto tekę robót publicznych dla p. Kędziora, bądźto galicyjską dla p. Stefczyka. W każdym razie był to układ oparty wyłącznie na podziale między siebie stanowisk naczelnych. Że tak było, na to są inne jeszcze dowody. Wiadomo mianowicie, że zarząd stronnictwa demokratyczno-narodowego sprzeciwił się temu układowi poselskiemu. Stwierdza to p. Olszewski, który, opowiedziawszy na czem stanęło w piątek, mówi dalej: „W niedzielę (t. j. 18. grudnia) odbyło się posiedzenie zarządu stronnictwa wszechpolskiego we Lwowie. W poniedziałek wrócili posłowie wszechpolscy ze Lwowa i obwieścili nam zakaz swego zarządu". Taksamo oświadczył w *Nowinach* p. Stapiński: „Lwowski zarząd stronnictwa d.-n. nie zatwierdził układu, jaki przyszedł już do skutku między delegatami obu klubów polskich". Otóż wiadomo, że zarząd stronnictwa demokratyczno-narodowego sprzeciwił się układowi właśnie dlatego, że obejmował on jedynie osobiste kombinacye co do podziału władzy i przeciwstawił mu ogłoszoną w *Słowie Polskiem* (z d. 9. stycznia) i taksamo mniej więcej w *Ojczyźnie* zasadę „jawnych ze stronnictwem ludowem programowych pertraktacyi, a nie pokątnych z samym p. Stapińskim o sprawy osobiste konszachtów".

Jest zatem rzeczą pewną, że nazajutrz po wybuchu przesilenia posłowie demokratyczno-narodowi ułożyli się z posłami ludowcami co do podziału naczelnych stanowisk. Aby należycie ocenić tę niezwykłą, że tak powiemy, obrotność poselską, trzeba sobie przypomnieć już nie tylko zaostrzony do ostatnich granic stosunek tych obu grup poselskich, które się odsądzały wzajemnie od czci i wiary, ale także układ rzeczowy grup w Kole Polskiem tuż przed przesileniem. Wiadomo mianowicie, że głównie posłowie Kozłowski, Starzyński i Korytowski zatem grupa konserwatywna, współpracowali z p. Głąbińskim i grupą demokratyczno-narodową w sprawie kanałów, że oni wystąpili stanowczo przeciw dawnym ministrom polskim, że oni jednem słowem stworzyli sytuacyę przesileniową, a właśnie p. Stapiński szedł przeciw kanałom i w obronie dawnych ministrów. Otóż, gdy to się już stało i gdy posłowie konserwatywni dalej pracowali dla kanałów i dla Koła Polskiego na zebraniach z niemieckimi i czeskimi przewódcami u p. Kozłowskiego, posłowie demokratyczno-narodowi już szukali, celem podziału naczelnych stanowisk, nowej kombinacyi. Był to jaskrawy jak rzadko przykład chamstwa politycznego.

Nic też dziwnego, że ów układ poselski nie poszedł w smak zarządowi stronnictwa demokratyczno-narodowego. Mianowicie, zarząd główny, bardziej wybredny i czuły na przyzwoitość niż posłowie, postanowił zrobić... to samo chamstwo, ale... trochę inaczej. Zarządowi stronnictwa demokratyczno-narodowego konieczną, nieodzowną, świętą była zasada, że dokonywa się nie „porozumienie w celu rozdziału stanowisk", ale „porozumienie programowe", a przynajmniej... pozory, że tak jest. Bo oczywiście nikt ani na chwilę poważnie przypuścić nie mógł, aby doszło do programowego porozumienia między stronnictwem demokratyczno-narodowem a ludowcami i demokratami luźnymi. Ale można było rzucić takie hasło a na zadatek załatwić sobie pięknie i ładnie przesilenie ministeryalne, czyli to właśnie o co jedynie chodziło.

I teraz dopiero zaczęła się komedya całą gębą.

— — — — — — — — — — —

P. Stapiński, otrzymawszy d. 19. grudnia pierwszą wskazówkę a następnie dalsze w tym duchu, że porozumienie musi mieć charakter czy wygląd nie dorywczy dla jednej sprawy stanowisk, ale programowy, że zatem trzeba postawić rzecz na gruncie zasadniczego zerwania dotychczasowego sojuszu z konserwatystami krakowskimi i zasadniczego zbliżenia się do demokracyi narodowej, nie długo się namyślał. Był gotów w kilku dniach i już w *Przyjacielu Ludu* na 1. stycznia ukazała się broszurka p. t. „Jak stoi nasza chłopska sprawa" napisana przez p. prezesa. Jest ona poprostu niezrównana. Naprędce skleciwszy w dwudziestu wierszach wyznanie, że „zarówno w Sejmie jak i w Kole Polskiem postępowanie wodzirejów konserwatywnych dopiekło mnie przynajmniej do żywego", a czując, że zwrot wymaga wyjaśnień, uzasadnił p. Stapiński to, co robi, w kilku zdaniach, które kiedyś posłużyć mogą dziejopisom za najlepszą ocenę umysłowego i moralnego poziomu całej roboty tej szczególnej postaci w naszem życiu politycznem:

„Tysiąc razy to powiedziałem i napisałem, a tu jeszcze raz oświadczam publicznie wszystkim, którzy o tem nie wiedzą i nie pojmują często mego postępowania, że w działaniach moich politycznych mam jeden drogowskaz i jedną drogę: służenia sprawie chłopów polskich i starania się o lepszą dolę dla braci moich, z których wyszedłem i których niedolę poznałem na biednem życiu i strasznej śmierci mego ś. p. Ojca, którego pamięć czcić pragnę na każdym kroku mego życia i działania. Życie cierniste i śmierć nad wyraz bolesna mego ś. p. Ojca jest mi nauczycielem i opiekunem w politycznem działaniu. Co czynię, to tak czynić się staram, abym był godnym tej niewysłowionej ofiary, jaką dla mnie ś. p. Ojciec poniósł i tej dobroci, jaką mnie darzył. Na wszystko się odważę, wszystko zniosę, jeżeli z tego może wyniknąć korzyść dla chłopów, dla, tych co jak mój ś. p. Ojciec, żyją i umierają przez niedolę. To jest moja idea, którą w sercu pieszczę, to jest ta gwiazda, która mnie prowadzi przez walki i sojusze, przez szczerość i nieszczerość. Jednemu tylko panu służę, t. j. braciom moim chłopom polskim.

Każdy kto ma ze mną do czynienia, niech o tem pamięta, aby się potem nie żalił, że się na mnie zawiódł... Przecież konserwatyści znali moje przekonania i mogli wiedzieć, że tak a nie inaczej postąpię, skoro interes chłopski tego będzie wymagał... Na to jestem przewodniczącym, abym prowadził. Prowadzę śmiało, bo wiem dokąd idę, a pamiętam, że różne drogi prowadzą do Warszawy."

Powiedział, że wie co robi, polizał łapę jedynemu panu, któremu służy t. j. braciom swoim chłopom polskim, pamięcią ojca wytarł gębę i sprawa załatwiona. Ten, jak powie, to rzeczywiście bezgranicznie po prostu.

— — — — — — — — — — —

Daleko trudniejsze zadanie miało stronnictwo demokratyczno-narodowe. Ono nie może mówić, a przynajmniej nie wszędzie może mówić, że jednemu tylko panu służy i tylko interesu chłopskiego pilnuje, ale musi także czasem i gdzieniegdzie służyć zapewnieniami że myśli o interesie całego narodu. Wynikła stąd i teraz dwulicowość, w tym wypadku tak jaskrawo przewrotna, że nawet w obecnem stronnictwie demokratyczno-narodowem uderzająca.

Więc też w *Słowie Polskiem* z d. 9 stycznia wywieszono sztandar: „Pertraktacye programowe między trzema stronnictwami, które brały w nich udział, będą się dalej prowadziły na oznaczonej przez demokracyę narodową podstawie zasadniczego dążenia do ogólnej konsodalicyi narodu". A w *Słowie Polskiem* z d. 12. stycznia dodawano: „Porozumienie to nie zwraca się przeciwko żadnemu stronnictwu, bo jak w jednych sprawach pożądane jest współdziałanie z temi, tak w innych konieczne jest współdziałanie z innemi znów stronnictwami". Jednem słowem górne hasło: konsolidacya całego narodu i wszystkich stronnictw.

Jednak równocześnie już w *Nowinach* krakowskich (z d. 5. stycznia), nie czytanych przez oświeceńszych członków stronnictwa demokratyczno-narodowego, ale przez ludowców i demokratów krakowskich, mówił p. Ptaś, prezes grupy demokratyczno-narodowej w Kole Polskiem: „Wielu wszechpolakom w kraju stoi ciągle przed oczyma obraz prowadzonej dotychczas walki z ludowcami, szumią im w uszach odgłosy jej i niektórzy w zaprzestaniu tej walki widzą coś upokarzającego. Ale nam, którzy dążymy do zgody, stoi przed oczyma stokroć większe upokorzenie, jakiem jest fakt, że po wyborczych zwycięstwach demokracyi nic prawie w kraju się nie zmieniło, że po dawnemu niepodzielnie rządzi drobna garść konserwatystów... Możemy sprowadzić korzystny przewrót, odrodzenie kraju... Dla mnie celem jest oderwanie ludowców od konserwatystów i wprowadzenie do wspólnego obozu demokratycznego, aby z ich pomocą stworzyć normalne stosunki w kraju i dać mu wreszcie rząd odpowiadający stosunkom sił i rozumiejący potrzeby kraju". Tu już nie hasło „konsolidacyi" ale „przewrotu", hasło zgniecenia konserwatystów i „odrodzenia kraju" przez sojusz... z p. Stapińskim i p. Leem. Nic dziwnego, że wielu wszechpolaków widziało w tem coś upokarzającego. Ale ostatecznie p. Ptaś był podobno w tej sprawie najzapalniejszy i ludowcy do ostatniej chwili jego jednego sobie chwalą. Więc dajmy pokój p. Ptasiowi. Ot, właśnie tak jak powiada poeta: „Ptak ptakowi nie jednaki, Człek człekowi nie dorówna, Dusza duszy zajrzy w oczy, Nie polezie orzeł w i. t. d."

Aliści, co dziwniejsze, to to, że w ludowej *Ojczyźnie* z d. 8. stycznia ten sam p. Grabski, który pisał artykuły wstępne *Słowa Polskiego* z d. 9. i 12. stycznia, zamieścił „list do wszechpolaków", zawiadamiający o widokach zgody z ludowcami i pisał:

„Bo naszem dążeniem jest i była jedność i zgoda całego ludu i narodu polskiego. Dlatego to nazywamy się wszechpolakami, że chcemy, aby wszyscy Polacy bez różnicy, czy kto c h ł o p, czy m i e s z c z a n, czy u r z ę d n i k, byli braćmi, synami jednej wspólnej naszej matki Ojczyzny. Żeby była w narodzie zgoda, a nie kłótnia i waśnie. I my wszechpolacy boleliśmy zawsze z tej rozterki, jaka dzieliła lud nasz z powodu walki stronnictwa ludowego przeciwko nam wszechpolakom. I dawnoby już była między nami a ludowcami zgoda, żeby nie poseł Stapiński, który się związał z k o n s e r w a t y s t a m i - o b s z a r n i k a m i przeciwko chłopom wszechpolakom. Za ten to sojusz zwalczaliśmy posła Stapińskiego. Dziś przyznaje się, że ten jego związek z obszarnikami przeciwko chłopom wszechpolakom szkodę ludowi przyniósł i chce teraz na dobrą drogę zgody z nami nawrócić stronnictwo ludowe, to każdy prawy wszechpolak, każdy komu na sercu leży dobro narodu i ludu, cieszyć się z tego będzie".

Tak wygląda „konsolidacya całego narodu", tak „porozumienie wszystkich stronnictw". Naród to chłop, mieszczanin i urzędnik... akurat tyle ile w danej chwili potrzeba na hasło połączenia się demokratów narodowych z ludowcami i demokratami luźnymi. A konserwatyści-obszarnicy to nie bracia, to nie synowie jednej wspólnej naszej matki Ojczyzny. Precz z historyczną warstwą narodu, precz z obszarnikami po trzykroć powstańcami, precz dzisiaj z Czartoryskimi, Andrzejami Potockimi, Dzieduszyckimi, precz z Cieńskimi, Kozłowskimi, Pinińskimi, Starzyńskimi, precz z dziesiątkami i setkami tych obszarników pracujących dla narodu ofiarnie i bezinteresownie. Bo zbawienie narodu to p. Stapiński i p. Leo z ks. Stojałowskim i p. Grabskim. Jednym oddał apostolstwo w narodzie, drugich jak parszywe owce z narodu wyrzucił, ot tak jak drobne paskudztwa danej chwili nakazywały i wytarł gębę wspólną matką Ojczyzną.

Na wszystko kląć się można, że w stronnictwie demokratyczno-narodowem z przed kilku lat, że za życia Popławskiego, ktoś, komuby coś podobnego przez gardło przeszło, nie byłby uważany za przedstawiciela a choćby najpospolitszego członka kierunku demokratyczno-narodowego lecz za narodowego szkodnika.

Zresztą sam sposób ogólny, w jaki się p. Grabski do ludu odnosi, nie bardzo odbiega od sposobu p. Stapińskiego. Oto n. p. jak p. Grabski kończy swój list:

„To Wam, bracia wszechpolacy obiecuję, póki mnie swojem zaufaniem darzycie, póki chcecie mnie mieć przewodniczącym naszej organizacyi, będę tego pilnował, żeby nasza poli-

tyka zawsze była jawna i uczciwa, bronić będę, żeby nie zeszła na manowce pokątnych krętactw. Bo jedna tylko droga do wolności Ojczyzny i dobrobytu ludu prowadzi: droga prawdy i moralności. Co złe to zginąć musi, co dobre to zwycięży. Bo jest sprawiedliwość Boska na świecie".

To samo co u p. Stapińskiego czapkowanie chłopom i to samo zarazem twarde trzymanie ich przy swojej osobie więcej i namacalniej niż przy stronnictwie: ci chłopi to już osobista własność p. Grabskiego, dzisiaj dla stronnictwa, a jutro może przeciw reszcie stronnictwa. I można im mówić o uczciwości, prawdzie, moralności, można piorunować na krętactwa, bo ci chłopi nie zestawią sobie tego co się pisze w *Ojczyźnie* z tem co w *Słowie Polskiem*. Ale Pan Bóg widzi i to co tu i to co tam. Więc po co wzywać imienia Boskiego nadaremnie?

Lecz gorzej jeszcze niż chłopów w *Ojczyźnie* a oświeconych w *Słowie Polskiem* co do zakresu i charakteru porozumienia, okłamywamywano jednych i drugich i okłamywano kraj cały co do właściwego celu tych zabiegów.

Grzmiano poprostu w *Słowie Polskiem* (z d. 12. stycznia) przeciw „nienaturalnym sojuszom". Wykrzykiwano jak to „pod naciskiem opinii rozbić się musiały niemoralne sojusze". Zapewniano, że „demokracya narodowa nie wda się w żadne związki czy sojusze, asekuracyą wzajemnych interesów partyjnych będące". Oczywiście nie wspomniano jednak, że pierwszym takim sojuszem, który wprost rzucił słynne hasło wymiany mózgów na naczelnych stanowiskach, który rozpętał wszystkie późniejsze intrygi, była unia demokratyczna pp. Grabskiego i Lea.

A co do nowego porozumienia zapewniano, że „wyłączono wszelkie personalne kombinacye" i że „teraz miejsce dla programowych porozumień".

Otóż to właśnie było wierutnem kłamstwem. Dla spraw programowych palcem nie ruszono. Bajano tylko o jakichś „komisyach", które mają się porozumiewać. Ale narazie zrobiono tylko jedną jedyną rzecz uchwytną: personalną kombinacyę co do dwóch tek ministeryalnych, jedną przeznaczając dla narodowego demokraty, p. Głąbińskiego, drugą dla ludowca p. Kędziora (a kto wie co się kryło za p. Kędziorem). Dla tej kombinacyi personalnej pracowano gorliwie i pracowano partyjnie, bo pp. Ptaś i Buzek z jednej strony a p. Stapiński z drugiej strony poszli zapewnić p. Bienertha, że polega ona na porozumieniu partyjnem. I ostatecznie, gdy ta kombinacya upadła, rozbiły się wszelkie porozumienia i teraz lżą się obie strony po staremu. Ludowcy wiedzieli doskonale czego chcą, a demokracya narodowa także taka głupia nie jest, aby miała jakiekolwiek złudzenia co do właściwych celów tego zbliżenia.

A demokracya stara? Ci mieli w ostatniem przesileniu udział wprawdzie także szpetny, ale przedewszystkiem pocieszny. Bo właściwie nie bardzo wiedziano czy na nich będzie miejsce w kombinacyi, a nadto niema między nimi nikogo, komuby można było bez wstydu na całą Polskę i dalej powierzyć stanowisko naczelne. Więc też niby się z nimi zbliżano a niby nie. A oni stosownie do tego jużto mizdrzyli się do połączenia żywiołów demokratycznych, jużto się na nie zżymali. Kręcili się w swych zasadniczych poglądach jak piskorze. Naprzód w niebogłosy krzyczeli w *Nowej Reformie* i w *Gazecie Wieczornej*, że p. Dulęba, który wraz z p. Bilińskim zamulił kanały i stał się żywem zaprzeczeniem sprawy kanałowej, powinien pozostać nadal ministrem. A potem, gdy się wreszcie spostrzegli, że to myśl szalona i że dla nich teki ministeryalnej niema, odrazu zadęli hasło krańcowo przeciwne, mianowicie, że sprawa kanałowa jest tak ważna, iż wogóle Polacy do gabinetu obecnie wejść nie powinni, a zarazem oni, którzy upierali się przy p. Dulębie, rzucali teraz w świat pytanie czy p. Głąbiński i p. Zaleski potrafią dostatecznie bronić kanałów. A po straceniu nadziei co do teki ministeryalnej czepili się kurczowo prezesury Koła Polskiego i na wiadomość, że prezesem ma zostać jeden z najznakomitszych naszych parlamentarzystów, pos. Starzyński, popadli poprostu w opętanie pisząc o „zgrozie i oburzeniu" oraz o „frymarce spuścizny demokracyi polskiej", tak jakby pytanie, kto z tych demokratów ma warunki na prezesa Koła Polskiego, nie było dla nich nad wyraz niebezpieczne. Tak kręcili się i tak kręcili, że p. Leo do dziś dnia prostuje, prostuje i prostuje.

— — — — — — — — — — — —

Piękna myśl połączenia szlachetnych naszych żywiołów demokratycznych trwała krótko, kilkanaści dni tylko. Ale to wystarczyło, aby ukazać całą otchłań niskich popędów, ambicyjek osobistych, zachłannych interesów partyjnych, bezgranicznego krętactwa, niepojętej obłudy. Wystarczyło także, aby w czasie tego przesilenia, w którem broniliśmy słusznej sprawy i w którem powaga nasza w Wiedniu mogła urość, rzucić na politykę polską wobec rządu, wobec parlamentu, wobec wszystkich krajów austryackich, cień paskudztwa politycznego, brudną plamę, która długo zostanie i którą niełatwo będzie usunąć.

Włodzimierz Antonowicz.

(Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej).

Wstęp.

Sam tytuł mego zarysu monograficznego o Antonowiczu mógłby mię zwolnić od usprawiedliwienia się w jakim celu i w jakich rozmiarach podjęta została praca niniejsza. Działalność Antonowicza na polu historyografii częściowo tylko wchodzi w obręb naszych dziejów. Najbardziej zatem polskiego czytelnika może interesować to tylko co bezpośrednio dotyczy dziejów naszego narodu i stanowiska Antonowicza wobec narodu i dziejów naszych. Praca moja przeto w tych wyłącznie granicach zamkniętą została. Starałem się zwrócić uwagę czytelnika na te jedynie momenty, gdzie najjaskrawiej uwydatniały się osobiste poglądy tego historyka w stosunku do zjawisk i życia dziejowego Rusi w okresie wspólności państwowej z Rzptą polską. Dla całkowitej charakterystyki działal-

ności naukowej Antonowicza miejsca w niniejszym szkicu niema; ten zakres jego pracy należy do historyi ruskiej.

Z założenia swego przeto praca moja musi być niezupełną, taką jest, taka miała być. Starałem się być bezstronnym, prawdziwym, szczerym, obojętnym tylko być nie mogłem.

Nie mam pretensyi do tego, ażeby stanowisko moje, zajęte w tej pracy, zadowolniło wszystkich; wiem że spotkać się mogę z krytyką ostrą. To trudno. Najszczęśliwsi są ci, którzy w nieomylność swoją wierzą. Zapewnić tylko mogę, że nie kierowała mną żadna inna myśl oprócz chęci poznania umysłowości i charakteru tego niepospolitego człowieka i pokazanie go w jego własnem oświetleniu polskiemu czytelnikowi.

I.

Pochodzenie i pierwsza młodość (1834—1855).

21 marca s. st. roku 1908 zmarł w Kijowie Włodzimierz Antonowicz, profesor historyi Rosyi na uniwersytecie kijowskim — „znakomity historyk Ukrainy-Rusi, przewodnik (pionier) i naczelny kierownik ukraińskiego ruchu narodowego w Rosyi“. Takim tytułem do chwały uczciło śmierć jego dziennikarstwo ruskie. Nie będziemy toczyć sporów o nomenklaturę tytułów, to jednak nie da się zaprzeczyć, że był istotnie pionierem i kierownikiem ruchu umysłowego, a w szczególności historycznego w ruskiem społeczeństwie i narodzie. Nie popełnię wcale wielkiego błędu, gdy powiem, że sam ruch ten wywołał, nadał mu rozpęd społeczny, stworzył dlań podstawy naukowe, a na nich oparł istnienie dzisiejszej szkoły historycznej.

Jeżeli weźmiemy na uwagę ważną bardzo okoliczność, że pracami swemi historycznemi objął zakres polsko-ruskich stosunków w obrębie dawnego państwa polskiego, to już z tego jedynie względu postać ta byłaby dla nas niezmiernie ciekawą i poznania godną.

Był to człowiek pod każdym względem niezwykły i zagadkowy. Śmierć jego i kilka kartek pozostawionego pamiętnika, nie wyjaśniły w zupełności ani jego umysłowości ani jego duszy. Całość tej umysłowości i duszy była niezmiernie złożoną i nieuchwytną. Z każdej strony przedstawiał się on inaczej. Łagodny i miękki w życiu codziennem, stawał się obrońcą najwyuzdańszej dzikości — w historyi; człowiek wysokiej kultury umysłowej i moralnej, w niszczycielach tej kultury — dopatrywał bohaterów; wychowany w polskiem społeczeństwie, wyrzekł się go, ażeby swoim ideom społecznym i naukowym nadać większe znaczenie prawdziwości; wykazując przez całe życie z niesłychaną wytrwałością i zacięciem tylko wady dawnego polskiego życia państwowego, nie gardząc ani oszustwem ani zgryźliwością, pod koniec życia, poszedł śladami Chmielnickiego i Wyhowskiego, i próbował stworzyć, nie hadziacką wprawdzie, lecz lwowską ugodę — równie jak tamta nie trwałą. Słowem, był to duch sprzeczności przy pozornej jednolitości umysłowej i duchowej.

Cichą, tajemniczą niekiedy, napozór spokojną i pożyteczną rolę dziejową odegrał on względem Rusi. Ukochawszy idealnie naród ruski, nie goręcej i nie głębiej, jak kochało przed nim i po nim wielu Polaków, dla których Ruś była tylko wspólną macierzą, nie widział innego sposobu służby ruskiemu społeczeństwu, jak zdradziwszy własną ojczyznę, religię i narodowość. Odjął w ten sposób odrazu cechę czystości, niezależności i bezinteresowności pracy całego życia.

Trudno prześledzić dokładnie drogę, która go od bezwzględnej krytyki własnego narodu do oderwania się zaprowadziła. Spróbuję jednak naszkicować duchową i umysłową sylwetkę tego niezwykłego człowieka, który mógł wykształcić się i działać jedynie w tak anormalnych stosunkach, jakie, dzięki niezdrowej atmosferze państwowej, wytworzyły się wśród naszego narodu i społeczeństwa. Praca naukowa Antonowicza jest zbyt rozległą i różnorodną, ażebym się mógł pokusić o jej dokładne ocenienie. Zadowolonym będę, jeżeli uda mi się kilka rysów wybitnych tej postaci uchwycić, przedstawić kilka tez społecznych i historycznych, które stały się krzywą osią całego życia jego i przyczyniły się do wytworzenia i spopularyzowania kierunków i poglądów ze stanowiska prawdy dziejowej — fałszywych, ze stanowiska moralności — przesadnie wypaczonych, a już z tego względu dla Rusi szkodliwych. Już to samo zjawisko, że należał do dwóch narodowości, że zerwał węzły tradycyi i religii, łączące go z polskiem społeczeństwem, że poszedł na służbę idei państwowej, wrogiej zarówno Rusi jak i Polsce, ciekawą czyni tę dwoistą pod względem moralnym postać. Dla nas jest tem ciekawszy, że w duchu idei państwowej politycznej Rosyi pchnął swoją działalność historyczną, że wykształcił w tym kierunku całe pokolenie pracowników, że dziejów własnego i ruskiego narodu użył jako narzędzia walki, że na dzieje polsko-ruskie patrzył przez pryzmat polityki państwowej rosyjskiej, na którą się dał złapać niebacznie; że skutkiem tego, sformułowawszy fałszywe tezy historyczne, przeszczepił je ze szkodą prawdy i moralności w uczniów swoich; że stworzył hajdamaczyznę naukową, która dla walki w teraźniejszości szukała w dziejach nieuzasadnionego poparcia. Zastrzyknąwszy truciznę kozackiego warcholstwa i swawoli w nowożytne społeczeństwo ruskie, oderwał je na długie lata od pracy pozytywnej, skrzywił jego logikę i moralność, a walki przeszłości przekuł na nienawiść dzisiejszą.

* * *

Włodzimierz Antonowicz urodził się w Machnówce, pow. berdyczowskiego gub. kijowskiej 6. stycznia 1834 r.[1]).

Kto był jego ojcem? Pozostanie to zapewne nierozwiązaną zagadką, chociaż wątek taje-

[1]) Dr. Tomasziwskij utrzymuje że urodził się w „Machniwciach“. Takiej miejscowości w dzisiejszej gub. kijowskiej niema wcale. Oczywiście jest tu mowa o Machnówce (po rusku Machniwka, w Machniwci). W broszurce tej (*Wołodimir Antonowicz.* Lwów. 1906) autor bardzo spokojnie, a niekiedy bardzo słusznie, ale bez sztucznego entuzyazmu, ocenił, o ile się dało wszechstronnie działalność naukową Antonowicza, wymijając zręcznie punkty drażliwe w życiu i nauce.

mnicy stara się sam Antonowicz uchylić w Pamiętniku. Ale i tu staje w sprzeczności ze sobą.

Nazwisko Antonowicz wziął po mężu matki. Słówko tedy o tym człowieku, który przeszedł przez życie cicho i spokojnie. Bonifacy Antonowicz, Litwin z rodu, z gub. wileńskiej, szkoły ukończył w Krzemieńcu. Gdy po zamknięciu szkół polskich, żadnych dróg do publicznego kształcenia się nie było, gdyż dla szkół rosyjskich brakło zarówno uczniów jak i nauczycieli, wytworzył się osobny typ wędrownego nauczyciela t. z. guwernera, wychowawcy. Średnio zamożne obywatelstwo „Krajów zabranych“, niechcąc dzieci swoje pozostawić bez nauki, starało się wynaleźć „guwernera“. Poszukiwano ich między uczniami uniwersytetu Wileńskiego, a później pośród Krzemieńczanów. Otóż takim „guwernerem“ był Bonifacy Antonowicz.

Matka Antonowicza, o której zaraz mówić będziemy, była także prywatną nauczycielką. Gdzie i kiedy spotkała się z przyszłym mężem swoim — niewiadomo dokładnie; Włodzimierz Antonowicz powiada głucho „na jednej z posad“. Wychodząc za mąż nie mogła być starszą, jak obaczymy później, nad 18—19 lat. Z małżeństwa tego był syn, który umarł dzieckiem, i córka Ewelina. Charaktery i temperamenty młodych małżonków były bardzo różne; ona — energiczna, o silnej nieugiętej woli, o despotycznem zacięciu, on — nabożny, cichy, bojący się żony, miłujący nadewszystko wygodny spokój. Kilka lat małżeństwo pracowało razem; później rozeszli się za chlebem w różne strony. Trwała ta tułaczka długo, aż w 9 lat po rozstaniu się urodził się syn — Włodzimierz.

W notatkach autobiograficznych — niedokończonych z powodu śmierci — Antonowicz rzuca garść światła na męską i żeńską progeniturę swego rodu. I nam wypada rzucić na nią okiem w krótkości, gdyż zwolennicy teoryi dziedziczności znajdą tu materyał do licznych uwag i wniosków.

Antonowicz sam stara się dać klucz do rozwiązania zagadki jego charakteru. Powiada on:

„W obecnych czasach, gdy antropologia uczyniła duże postępy, nie można zaczynać pamiętników, nie uwzględniwszy w miarę możności własnej genealogii. Genealogia ta niema na celu wysławianie rodu, jak się to okaże na moim przykładzie — a ma służyć, jako wskazówka, ile każdy człowiek otrzymał moralnego spadku po ojcach i jak ten spadek wykorzystał — czy go zwiększył, czy pomniejszył.
Zanim rozpocznę *sina ira et studio* opisywać poprzedzające mnie pokolenia, uważam sobie za obowiązek wypowiedzieć swój pogląd na antropologiczną teoryę atawizmu.
Jestem przekonany, że każdy człowiek nosi w sobie uzdolnienia i kierunki, wypracowane duchowo przez cały szereg pokoleń poprzednich; ale to nie wywiera fatalnego kierunku na życie i działalność człowieka; poza tem, co mu przekazali przodkowie, człowiek otrzymuje jeszcze wychowanie, które ma ogromny wpływ na jego kierunek wewnętrzny, a jeszcze bardziej zmienia on swoje wrodzone instynkty zapomocą własnej inicyatywy, o ile ją posiada, zwracając takową bądź w stronę postępu, bądź w stronę cofania się. Ile procentów może dać człowiek w ciągu swego życia dla postępu — nie wiem; ale myślę, że nie bardzo dużo — sądzę, że od 5 do 15 proc. — zawsze jednakże taką mniej więcej cząstkę może on włożyć do wszechświatowej skarbnicy ludzkich dążeń do postępu. W ten sposób moralna działalność każdego człowieka określa się sumą trzech składowych części: 1) atawizmu, t. j. spadku otrzymanego po przodkach (w najlepszym razie nie więcej, jak 75 proc.); 2) wychowania, t. j. sformułowanych zasad czasów ubiegłych (5—10 proc. i 3) własnej inicyatywy (w najlepszym razie do 15 procent.“).

Po tym wstępie opowiada krótko dzieje własnej rodziny — ciekawe wplątaniem się w jej życie pewnego tragizmu i sposobem, w jaki sam autor ten moment przedstawił.

Zacznijmy od linii żeńskiej — według opowiadania autora pamiętnika. Linia ta sięga końca XVIII w. Właściciel miasteczka Pawołoczy, pamiętnego śmiercią Jeremiego Wiśniowieckiego, jakiś Lubomirski, miał również nieznaną z imienia kochanicę — Rusinkę, z którą spłodził dwóch synów — Józefa i Stanisława i córkę Karolinę[1]).

Pragnąc zabezpieczyć los dzieciom z nieprawego łoża, wydał tą kochanicę za pisarza dóbr swoich Zubowskiego i zrobił go rządcą kluczowym. Po śmierci pierwszego męża Lubomirski wydał ją powtórnie za szambelana Trzebińskiego i kupił dla nich posiadłość ziemską w powiecie radomyślskim — Ewandorf.

Karolinę Zubowską, babkę Antonowicza z linii macierzystej, wydano zamąż za Hipolita Górskiego, szlachcica z Królestwa — bogatego pana, właściciela dwóch czy trzech wsi, których nie wahał się zadłużyć na rzecz powstania Kościuszkowskiego. Wystawił kilkudziesięciu żołnierzy swoim kosztem. Po upadku powstania do Królestwa już wrócić nie mógł, tułał się tedy po Ukrainie, na służbie, lub chodził dzierżawami i szukając chleba. Miał to być człowiek gorący i sangwinik, ale niewątpliwie wielkiego pojęcia o obowiązkach obywatelskich skoro nie wahał się złożyć majątku na ołtarzu potrzeb ojczyzny[2]). Po jego śmierci, synów Kajetana i Józefa, w wieku 10—14 lat, wzięli bracia Karoliny Zubowscy, a córkę Monikę, dziewczynkę 12-letnią, wzięli na wychowanie Podoscy, ludzie bardzo zamożni.

Sfera umysłowa i towarzyska, w jakiej znalazła przytułek sierota po Górskim, a przyszła matka przyszłego profesora uniw. Kijowskiego, pozwoliła jej, stosownie do pojęć wieku, otrzymać wychowanie nader staranne i wykształcenie odpowiednie do społecznego stanowiska rodziny, śród której smutny przypadek ją rzucił. W 22-m roku życia, we-

---

[1]) Z końca XVIII w. znamy tylko trzech Lubomirskich: dwóch synów Józefa wojew. Czernichowskiego († 1732) Antoniego († 1782) i Stanisława († 1783), a z drugiej linii Franciszek syn Jerzego wojewody Krakowskiego († 1779). Z innych Lubomirskich znamy Ksawerego, który w r. 1787 sprzedał dobra Smilańskie księciu Potiemkinowi, i Aleksandra, właściciela Raszkowa w końcu XVIII w., sprzedanego za długi, a kupionego przez rząd ros. i darowanego następnie przez Pawła I Tutotminowi, namiestnikowi wołyńskiemu. Który z nich mógł być protoplastą Włodzimierza Antonowicza — nie wiemy.

[2]) Włodz. Antonowicz pisze w *Pamiętniku*: że „jak cała ówczesna szlachta tyranizował żonę i dzieci“, że był pijakiem nałogowym i skutkiem upicia się spadł pod lód i utonął. Dowodów na to żadnych nie przytacza.

dług relacyi Antonowicza, jako guwernantka poczęła pracować sama na siebie[1]).

Wreszcie los złączył ją z Bonifacym Antonowiczem — ażeby wkrótce rozłączyć. Było to małżeństwo, co się zowie niedobrane pod wielu względami. Ona pełna energii, siły, gładka i wykształcona, on niedźwiedź litewski, natura jak się zdaje zupełnie bierna, apatyczna, rozmiłowana w gnuśnym spokoju i bezczynności.

Występuje na scenę wkrótce — ten trzeci. Postać prawie legendarna, owinięta mgłą tajemniczości — pół-Węgier, trochę Rusin, do czego się nie przyznawał, trochę Polak, bo szkoły polskie kończył Janos Dżidaj. Antonowicz nazwał go mniej poetycznie — Iwanem. Z tego Iwana zrobił kochanka matki i — ojca swego. Ten smutny cień, rzucony na postać nie żyjącej matki, pracującej z poświęceniem się niezwykłem dla wykształcenia syna, cień, który położył się na jej mogile, jest tylko następstwem manii mówienia wszystkiego pod głośnem imieniem — prawdy. W tym wypadku mogła to być jedna z tych plotek, które krążą często koło samotnej kobiety. Ale miłość synowska nie uszanowała czci matki. Powtórzył to, co mówili inni — bez dowodów. Była to próżna chęć zwrócenia na siebie uwagi czemś niezwykłem, przedstawienie się w świetle jakiejś idealnej szczerości, posuniętej do barbarzyństwa.

Sam Antonowicz tak opowiada:

„W końcu XVIII stulecia po liberalnych[2]) rządach Józefa II i krótkiem panowaniu Leopolda II, nastała w Austryi epoka reakcyi wraz ze wstąpieniem na tron cesarza Franciszka II. Wiadomo, że ludzie zasad liberalnych, znajdujący pole dla swojej postępowej działalności przy Józefie II lub wychowani pod ideowym jego wpływem, znaleźli się obecnie w niełasce, byli usuwani z urzędów i oddawani pod nadzór policyi; panowało wskutek tego wśród tych ludzi powszechne niezadowolenie, sprowadzając, między innemi, niektórych na drogę czynnego protestu. Na Węgrzech, jak wiadomo, powstał w one czasy dość szeroki spisek, mający na celu zmianę arystokratycznej węgierskiej konstytucyi, oderwanie Węgier od Austryi i przekształcenie ich na rzeczpospolitą, jak Francya, przyjąwszy za wzór prawodawstwo, opracowrne przez konwent francuski.

Spisek został wykryty, a jego głowa, wygnany profesor lwowski, opat Martynowicz i 8 jego współtowarzyszów ponieśli karę śmierci. Wśród ludzi, zamieszanych do spisku, znalazł się między innymi i posiadający uniwersyteckie wykształcenie Matyas Dżidaj, pełniący obowiązki nauczyciela u jakiegoś węgierskiego hrabiego, którego również wciągnął do akcyi spiskowej; hrabia wykupił się, a Dżidaj musiał uciekać do Galicyi, gdzie dzięki protekcyi swego ongi patrona otrzymał w górach miejsce leśniczego. Tu się ożenił z miejscową włościanką Rusinką. W czasie objazdu lasu, tak silnie spadł z unoszącego go konia, że wkrótce umarł.

Po jego śmierci został jeden tylko syn Janos (Iwan) Dżidaj — *sit tibi terra levis* — i to był właśnie mój ojciec. Iwan Dżidaj wychowywał się w lwowskim uniwersytecie, gdzie skończył fakultet filozoficzny (jak myślę w 1826 lub 1827 roku).

W tym czasie rozpoczęła się polityczna akcya, zyskując sobie w całej Europie sympatye liberalnych, wykształconych i posiadających choć nieco energii życiowej ludzi — heroiczne powstanie Greków przeciwko Turkom[1]).

Iwan Dżidaj i dwaj jego lwowscy przyjaciele zdecydowali się jechać do Grecyi, aby w charakterze wolontaryuszów wziąć udział w powstaniu, ale brakło im środków na przejazd, a jak wiadomo, ani koleje, ani parowce jeszcze wówczas nie istniały, dzięki czemu, przejazd był bardzo drogi i długotrwały. Dla zaradzenia temu brakowi rzucili się lwowscy młodzieńcy do pracy, póki jednakże zdobyli odpowiednią sumę, przeszedł rok, a może i więcej; gdy zaś nakoniec wyruszyli, spotkała ich w czasie przejazdu przez kijowszczyznę wiadomość, że wojna skończona, a rzeczpospolitą grecką uznały już i dyplomacya i traktaty.

Zatrzymano się więc wpół drogi, nie wiedząc, co czynić z sobą. Na ich wszakże szczęście człowiek z uniwersyteckim dyplomem był wówczas na prawobrzeżnej Ukrainie *rarissima avis*[2]), to też, gdy miejscowi obywatele dowiedzieli się o ich przybyciu, zabrali lwowian w charakterze nauczycieli domowych do swoich dzieci. W ten sposób Iwan Dżidaj został guwernerem u bogatego obywatela z Czehryńszczyzny, Rościszewskiego, a następnie przechodząc z miejsca na miejsce, bardzo długo pełnił te obowiązki u różnych panów. W tej zaś liczbie znalazł się on w r. 1832 w charakterze guwernera u p. Markowskiego z Humańszczyzny (wieś Jahubiec), gdzie spotkał moją matkę, która w tym domu pełniła okowiązki guwernantki".

Trudno chyba o bardziej romantycznych protoplastów jak ci, których los miał przeznaczyć jakoby Antonowiczowi[3]). Sam on wysuwa

[1]) Daty co do matki, w *Pamiętniku* Wł. Antonowicza nie schodzą się. Urodziła się w r. 1802. W chwili zatem przyjścia na świat Włodzimierza (1834) miała już 32 lata. Jeżeli zatem on urodził się w 9 lat po rozstaniu się z mężem, nastąpiło to tedy w r. 1825. czyli miała wówczas lat 23. Zważywszy że, rozstając się z mężem miała już dwoje dzieci, z których starszy syn nie żył, nie mogła dopiero w 22-m roku życia zostać guwernantką. Albo została o wiele wcześniej, albo, wszystkie daty *Pamiętnika* są nieprawdziwe i pobranie się domniemanego ojca Antonowicza z Karoliną miało miejsce wcześniej.

[2]) Liberalizm ograniczył się na skasowaniu klasztorów i kościołów, konfiskacie dóbr królewskich i kościelnych i na wprowadzeniu do rządów planowego centralizmu.

[1]) Dla własnego narodu był mniej wyrozumiałym.

[2]) Antonowicz z osobliwą zajadłością obniża zawsze wartość moralną i umysłową szlachty ówczesnej, zapominając zbyt często o prawdzie, którą sobie obrał za przewodniczkę. Uniwersytet lwowski w owe czasy nie o wiele chyba przewyższał Krzemieniec, a już nie dorównywał pod żadnym względem Wileńskiemu. Średnie szkoły w Winnicy, Międzybożu, Humaniu i wielu innych mniejscach dawały wysokie wykształcenie szlachcie miejscowej. Jak wysoko stała kultura umysłowa śród szlacheckiego społeczeństwa owej doby, można się przekonać z *Pamiętników* Detiuka (Andrzejowskiego) Fr. Kowalskiego *(Wspomnienia)*, Steckiego, z podróży Przezdzieckiego i t. d. Nie było domu bez wielkiej biblioteki najpoważniejszych pisarzy, a wiele bogatych domów posiadały własne muzea, któremi zasilały się Moskwa i Petersburg. Galerye obrazów w Młynowie i in. były słynne. Człowiek wykształcony przeto nie był w owe czasy — rarissima avis. Nasuwa się jeszcze pytanie: skąd się szlachta ukraińska dowiedziała o „uniwersyteckim dyplomie Dżidaja?". Przekradając się tajemnie do Grecyi, chyba nie nosił w kieszeni dyplomu. Musiał ukrywać swoje nazwisko, nie zaś wyjawiać każdemu szlachcicowi.

[3]) Przyjęliśmy wprawdzie genealogiczną wersyę według jego własnych opowiadań, autor sam wszakże osłabia jej prawdziwość. Pamiętnik swój zaczął pisać w r. 1897 (incipi Romae 14 (26) Januarii anno 1897. Anno natus LXIII), zaś w r. 1903, 5. czerwca pisał do Antoniego Mioduszewskiego, kolegi swego: „o j c i e c m ó j (Bonifacy Antonowicz) całe życie był domowym nauczycielem. Ostatnim jego uczniem był Otto Abramowicz. Po ukończeniu wychowania ostatni (Abramowicz), widząc już podeszły wiek m e g o ojca, zaproponował mu pozostać w jego domu, gdzie też m ó j o j c i e c i dokonał życia. Stąd mój stosunek z Ottonem Abramowiczem". (Z a p i s k i n a u k. T o w a r i s t w a im. S z e w c z e n k i 1909 T. III. st. 150). Kto był tedy rzeczywiście według mniemania Antonowicza istotnie jego ojcem i kiedy p r a w d ę o ojcostwie powiedział?

Jest jeszcze inna wersya, utrzymująca się wytrwale dotychczas, że Antonowicz był synem Ottona Abramowicza. Mając wybór między Węgrem a Polakiem, wybrał Węgra.

na czoło tych niewidzialnych wpływów dziedzicznych, które urabiają człowieka i jego charakter, Iwana Dżidaja i oplwawszy pamięć matki, dziękuje jej za to, że mu dała „ideowego i wykształconego ojca“.

Wygląda to trochę na chęć usprawiedliwienia własnego stanowiska i zjednania sobie bodaj częściowego rozgrzeszenia.

Nie można się oprzeć pokusie, ażeby nie wypowiedzieć wątpliwości, że owa powieść romantyczno-bohaterska o Dżidaju jest wymysłem samego Dżidaja — ad captandam benetentiam szlachty, otaczającej zawsze uznaniem bohaterów walki o wolność.

Skończywszy z genealogią, możemy przejść do dalszych wypadków jego życia i naszkicować je w krótkości.

Gdy poczęła dorastać starsza siostra, Ewelina, Antonowiczowa zdecydowała się porzucić rzemiosło bakalarskie i zająć się wydaniem córki zamąż. Rodzina cała skupiła się około r. 1840 w Machnówce. Antonowiczowa miała tu dom własny, który sprzedała, a zamieszkała u brata Józefa Górskiego, adwokata przy sądzie machnowieckim. We wspólnym domu znaleźli się matka Karolina i Antonowiczowa wraz z córką Eweliną i synem Włodzimierzem, kilkuletnim chłopakiem. Matka zajęta wydaniem córki zamąż, mało czasu poświęcała synowi, który z babką cały czas przepędzał. Pod jej okiem nauczył się czytać i pisać. Dla matki nie miał nigdy gorących uczuć. Z natury trwożliwy, mrukowaty, nie łatwo udzielający się i niechlujny, obawiał się matki, przestrzegającej czystości i elegancyi, do pewnego stopnia. Wymagania na tym punkcie matki wydawały się chłopcu maltretowaniem; wkładanie czystej bielizny i ubrania były jego rozpaczą; wycieranie ust serwetą — przesadnem wymaganiem, które raz zastosowane przez matkę, za pomocą ścierki, wywołało wysypkę na ustach [1]).

Już w malcu poczęła się wyrabiać pewna zgryźliwość i niechęć do rodziny. Młody Antonowicz wyróżniał tylko babkę, dla innych rzadko miewał słowa uznania. Drobnoszlachecka sfera, urzędników sądowych, adwokatów, i t. p. nie przypadała do smaku Antonowiczowi i pozostała w jego wspomnieniach, sformułowanych wprawdzie w 60 lat później, zapisana barwami bardzo ciemnemi. Według jego mniemania nie było kogo kochać, nie było za co kochać. Późniejszy profesor patrzył na tę sferę i oceniał ją okiem człowieka końca XIX stulecia — a w dodatku człowieka uprzedzonego. Ten bardzo surowy sąd ówczesnego społeczeństwa, był poniekąd usprawiedliwieniem siebie. Karciarze, próżniacy, pijacy, wyzyskiwacze ludu — to są zwykłe typy według Antonowicza. Nie było żadnego wybitnego rysu bądź zewnętrznego, bądź moralnego, któregoby nie zastosował Antonowicz do współczesnego szlacheckiego społeczeństwa, byle je tylko odmalować jaknajgorzej. Widać w tem było jakieś uporczywe parti-pris, jakąś, prawie nie dającą się pojąć chęć przedstawienia całokształtu życia szlacheckiego w najgorszem świetle. A przecież taki punkt wyjścia nigdy nie prowadził do poznania prawdy. Złośliwość i chęć wyszukiwania śmieszności doprowadzała go niekiedy do absurdu [1]).

W r. 1840 Antonowiczowa wydała córkę Ewelinę za Jana Waśniewskiego, adwokata przy sądzie machnowieckim. Główny cel matki został osiągnięty. Pozostał drugi — dalsze kształcenie syna Włodzimierza. Po ustaleniu przeto losu córki, Antonowiczowa wróciła znowu do działalności pedagogicznej. Otrzymawszy miejsce guwernantki w zamożnym domu państwa Cybulskich, przeniosła się wraz z synem do Oryczkówki pod Tulczynem. Malcowi nauka szła tępo. Przyszły profesor, niepozbawiony zdolności, posiadał chorobliwy prawie upór i chęć robienia na przekór matce. Uczył się tedy źle i niechętnie, ale ostatecznie zbliżał się wiek, kiedy należało rozpocząć regularną naukę szkolną. Wówczas Bonifacy Antonowicz przesiadywał już na łaskawym chlebie u Abramowicza. Matka zdecydowała się oddać chłopca mężowi dla ostatecznego przygotowania do gimnazyum. Ale młodemu mrukowi i tu było nie swojsko.

Włodzimierz Antonowicz reasumując już jako starzec, różne warunki i wpływy na kształtowanie się swego życia i charakteru, dopatrzył w sobie kardynalną wadę, a sformułował ją słusznie: „była to chęć wybicia się ponad innych, wykazania siebie w świetle jak można najlepszem i odznaczenia się czemś szczególnem.“ Ale i tu pomylił się, przypisując tę wadę „pyszałkowatości szlacheckiej“. Dla czego „szlacheckiej“ kiedy była to wada ogólno-ludzka, a jeżeli w klasach wykształceńszych spostrzegało się ją częściej niż w innych warstwach, to tylko dlatego że na wyżynach społecznych przybierała ona cechy często wielkie i szlachetne i stawała się podnietą do czynów i dzieł pożytecznych i pięknych, gdy na nizinach umy-

---

[1]) Z powodu tej operacyi pisze:

„W szlacheckiem towarzystwie słyszałem niejednokrotnie, że temu, kto nie wyciera ust, należy je wytrzeć ścierką; wypadek więc ze mną nie był wymysłem mojej matki, lecz zastosowaniem gotowego aforyzmu szlacheckiego *savoir-vivre'u*“. Dodać należy, że nie był to „aforyzm“, ale pogróżka, rzadko wykonywana, mająca na celu zmuszanie dzieci do wycierania ust po jedzeniu.

[1]) Przytoczę przykład. Antonowicz w Pamiętniku swoim (Notatki autobiograficzne) pisze:

„Kostium składał się u mężczyzn z czarnego kapelusza o szerokich skrzydłach, a w święta z wielkiej lisiej czapki, pod którą noszono jarmułkę, maleńką, nigdy i nigdzie nie zrzucaną czapeczkę (calotte), na głowie zaś obok uszu wisiały dwa długie loki, nazywane pejsami; za odzież służył im długi, czarny chałat, podpasany czarnym, szerokim pasem, a na nogach mieli pończochy i pantofle. Natomiast kobiety na golonych głowach nosiły peruki, a na niej dyademy, zdobne perłami, zaś ubranie obszywały na piersi szeroką taśmą aksamitną. Powierzch sukni zakładano salopę, noszoną dla szyku z ręką, włożoną do jednego tylko rękawa“.

Zdawałoby się że to strój żydowski. Wcale nie. Według Antonowicza jest to strój polski. Powiada on:

„Oryginalnego tego kostyumu używali żydzi, począwszy od wieku XIII, ale w pierwszej połowie tego stulecia żydzi przesiedlili się olbrzymią masą z zachodniej Europy do Polski, a ponieważ nie było tam prawa, nakazującego im noszenia specyalnej odzieży, przyjęli więc ówczesny strój polski. W XVI wieku polacy, hołdując modzie, przyjęli strój wschodni (kontusze, żupany i t. d.) żydzi zaś zostali przy staropolskiem ubraniu, którego noszenie zabronione im zostało dopiero przez Mikołaja I.“

słowych i moralnych, jako zwykła próżność i chęć popisu okazywała się wadą szkodliwą i pospolitą.

Z domu Ottona Abramowicza poszedł wprost do Odessy, gdzie Iwan Dżidaj prowadził pensyonat dla chłopców. Tam wychowywał się aż do chwili wstąpienia do uniwersytetu w Kijowie. Z epoki tej brak nam danych zupełnie. W liście do kolegi Mioduszewskiego wyraził się głucho: „wychowawcy memu obowiązany jestem, oprócz nauki, wpojeniem zasad prawdziwego demokratyzmu". Nie powiedział wszakże na czem te zasady polegały. Zdaje się że polegały one na zaniechaniu wszelkich form towarzyskiego współżycia i na łatwości obcowania z najniższemi warstwami społecznemi.

Ponieważ pod wpływem poglądów polityczno-narodowych, dziś jeszcze kursujących w Rosyi w sferach urzędowych, za Polaków uważano tylko ludzi obrządku rzymsko-katolickiego, nastręcza się pytanie: do jakiej narodowości należał Włodzimierz Antonowicz?

Według kultury, wychowania i urodzenia należał niewątpliwie do narodowości polskiej, do sfery drobno-szlacheckiej. Jakkolwiek wynajdywał śród tego społeczeństwa najczarniejsze plamy i nie szczędził mu najzłośliwszych zarzutów, jednak kulturalność i dojrzałość jego cenił i myśląc o przyszłości Rusi, ku Polsce się zwracał. Tam ją widział, nie zaś śród demagogicznych marzeń. Co do religii — utrzymywali niektórzy że był unitą a wpisany został do uniwersytetu jako „prawosławny". W ten sposób dawni koledzy i przyjaciele jego pragnęli uchronić go od zarzutu wyrzeczenia się religii. Wątpliwości w tym względzie rozwiał sam Antonowicz. „Wieść o tem że narodziłem się unitą — pisał — kompletnie mylna: oboje rodzice moi należeli do obrządku katolickiego, więc i ja byłem ochrzczony jako katolik". (Zapiski Szewczenki T. III., st. 150). Ale była tu mowa o Bonifacym Antonowiczu, nie zaś o Iwanie Dżidaju.

Po wyjściu zamąż siostry Eweliny za Waśniewskiego, zięć Antonowiczowej wziął w dzierżawę część wsi Bryckie, pow. berdyczowskiego. Tu poznał Antonowicza Leonard Sowiński, głośny poeta. Antonowicz przyjeżdżał na wakacye do matki z Odessy. Był to chłopiec szczupły, wątły, milczący, nie lubiący towarzystwa, umysłu poważnego. Chętniej niż śród sfery wykształconej, przebywać lubiał śród włościan i umiał jednać sobie ich życzliwość. (*Przewodn. nauk.-liter.*, kwiecień 1908., str. 360. Michał Rolle przytacza list Leonarda Sowińskiego do Dra Antoniego J.). W roku 1850, mając 16 lat, ukończył II-gie odeskie gimnazyum, a w jesieni wstąpił do uniwersytetu w Kijowie. Odessa nie posiadała jeszcze wówczas wszechnicy. Wyborem przyszłego zawodu kierowała matka, której ulegał do końca jej życia (1855); wybrała mu wydział medyczny, na którym przez pięć lat był wytrwałym słuchaczem. Dopiero śmierć matki przerzuciła go na pole ulubionych studyów — przeniósł się na wydział historyczno-filologiczny, t. zw. literacki w r. 1855.

(D. c. n.). *Franciszek Rawita Gawroński.*

Sprawa polska.

Władysław Studnicki: *Sprawa polska.* Poznań 1910 (z portretem autora). 8° str. 576.

„Sprawa polska" p. Wł. Studnickiego, to długi na kilkaset stron artykuł publicystyczny, którego sens streszcza się w następującym wywodzie:

Najistotniejszym wrogiem Polski jest Rosya. Upadek państwa polskiego nastąpił skutkiem zbiegu niepomyślnych okoliczności, wyzyskanego przedewszystkiem przez Rosyę. Powstania i walki orężne przeciwko Rosyi stanowią istotną treść historyi politycznej narodu polskiego w okresie porozbiorowym; ich niepowodzenie było skutkiem zbiegu zewnętrznych okoliczności (brak naczelnego wodza w r. 1831, spóźniony dowóz broni w r. 1863). Brak odpowiedniego przygotowania kraju w latach 1828, 1855, 1877 a wreszcie w chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, nie pozwolił na korzystanie z najlepszych sposobności, jakie się w ciągu wieku nadarzyły. Potrzeba odpowiednich przygotowań jest tem pilniejsza w dobie dzisiejszej, że Europa stoi w przededniu nie reform ani rewolucyi socyalnych, lecz wielkich walk narodów i państw.

Czytając spis rozdziałów „Sprawy polskiej" (Sprawa polska — Geneza upadku Polski — Rozbiory Polski — Próby restytucyi państwa 1795-1815 — Próba unii realnej z Rosyą — Powstanie 1831 r. — Akcya i reakcya 1831 r. do wojny krymskiej — Sprawa Polska przed i w czasie wojny krymskiej. — Powstanie 1863 r. — Od powstania do wojny japońskiej — Prądy i kierunki od 1864 do 1904 r. — Rzut oka na ostatnie pięciolecie) nabiera się mimo woli wrażenia, że „Sprawa polska" jest próbą syntezy historycznej naszych dziejów porozbiorowych. Sam też autor nazywa swą pracę „syntezą naszej historyi zwłaszcza porozbiorowej".

Tak jednak nie jest. Z faktów i urządzeń w okresie dziejów porozbiorowych uwzględnione są te tylko, które służą do objaśnienia walk zbrojnych. Fakty zresztą nie są zestawione równomiernie tak, ażeby można na ich osnowie oprzeć historyczne sądy, ale są wybierane i grupowane tak, ażeby uwypuklić i uzasadnić w głównych liniach powyżej naszkicowane, polityczne wnioski autora.

Nazywając „Sprawę polską" pismem politycznem, nie chce recenzent obniżyć jej znaczenia, ale odsłonić jej właściwe znaczenie. Pismo polityczne może być nie tylko równie pożyteczne, ale owszem cenniejsze, aniżeli dzieło historyczne. Rozumie się też, że do niego nie można z całą surowością stosować tych kryteryów, któremi się bada wartość dzieła historycznego. I w wyborze faktów i potrzebie ich potwierdzenia nie obowiązują publicysty tak ścisłe reguły jak historyka. Inaczej być nie może, choćby ze względów technicznych wówczas, gdy się operuje mnóstwem faktów współczesnych lub prawie współczesnych, które nie zawsze jeszcze dają się potwierdzić dokumentami.

Ale jakkolwiek swobodnym może być autor takiego pisma w metodzie pracy, obowiązuje i jego przynajmniej ten postulat, ażeby w tych kwestyach politycznych danej doby które pragnie uwydatnić i zamknąć pozyty

wnymi wnioskami, nie pomijał faktów przeciwnych jego tezie, ani, ażeby nie podawał za fakty takich twierdzeń, które mają byt realny jedynie w jego własnem przekonaniu. Postępując inaczej, autor nie wzmacnia bronionego przez się stanowiska, ale raczej je osłabia i podaje w wątpliwość.

Niestety, jeżeli z tego punktu widzenia rozpatrzymy się w książce p. Studnickiego, znajdziemy, że nie wszystko jest w porządku. Materyał faktyczny, nagromadzony w „Sprawie polskiej" jest wprawdzie pierwszorzędny. Autor, znakomity publicysta, jeden z najzdolniejszych u nas, zgromadził biegle i pracowicie na kilkuset stronach prawdziwe bogactwo wiadomości politycznych z dziejów ubiegłego wieku. Podane fakty są i ważne i prawdziwe. Wyjątkowo tylko n. p. wobec niektórych nielubianych przez się działaczy politycznych (Popławski, Dmowski, także Sadzewicz) puszcza się autor na drogę plotek, nieprawdziwych faktów i czczych oskarżań. Powtarzamy, materyał faktyczny jest wielką zaletą książki i zasługą autora. Kwestyonujemy, czy materyał ten został należycie wykorzystany. Ażeby dowieść, że dla sprawy polskiej jedynie stosunek Polski do Rosyi jest miarodajny, autor nie tylko w swej „syntezie dziejów porozbiorowych" usunął w cień sprawy zaboru austryackiego i pruskiego, nie tylko przedstawił je jako sprawy małoznaczne, ale przeprowadził coś jakby próbę rehabilitacyi rządów pruskich w Wielkopolsce. Ażeby stworzyć przeciwwagę do jednostronnych (a dzisiaj już należących do przeszłości), pełnych pesymizmu sądów historycznej szkoły krakowskiej o genezie upadku Polski i o skutkach powstań — autor grupuje znowu w duchu jaskrawej jednostronności fakty przeciwne tamtym poglądom i dochodzi do konkluzyi, których optymizm (a szczerze mówiąc, zarozumiałość) i lekkomyślność są aż nazbyt widoczne.

Ażeby wreszcie uzasadnić potrzebę przygotowań do ruchu zbrojnego w niedalekiej przyszłości, autor grupuje same tylko ujemne fakty z bieżącego życia politycznego w Polsce, przedstawia czarno jak sadzą dzisiejszy stan rzeczy, rzekomą bezmyślność, upodlenie, lojalizm społeczeństwa polskiego, mimo, że takie galwanizowanie ogółu obrazami czarniejszymi od rzeczywistości nie jest — przynajmniej w naszem położeniu — najlepszym sposobem, ażeby dodać ogółowi więcej ducha i pewności siebie. Jak zaś w dodatku trudną jest rzeczą ocenić w danej chwili, z oderwanych faktów, właściwy stan uczuć i umysłów jakiegoś społeczeństwa, o tem powinny były ostrzedz autora właśnie przykłady zaczerpnięte z historyi naszych powstań; wszakże, w bezpośredniem następstwie po najjaskrawszych i najczęstszych wypadkach upodlenia „ugodowych" jednostek wobec rządów zaborczych, ogół obywateli objawiał wówczas zawsze więcej patryotyzmu i czynnej gotowości do ofiar, aniżeli spodziewano się nie tylko u naszych wrogów, ale i u nas samych.

Kiedy kończąc, przychodzi nam zamknąć książkę p. Studnickiego, ogarnia nas głęboka wątpliwość, czy autor nie mógł użyć bardziej celowo tak licznych i tak umiejętnie nagromadzonych materyałów historycznych, i druga, jeszcze poważniejsza wątpliwość, czy autor nie osłabił głównej tezy, której chciał dowieść w oczach czytelnika.

Że polityczna przyszłość ziem polskich zależy przedewszystkiem od losu Rosyi, że niepodległości politycznej nie okupuje się bez ofiary krwi, to są rzeczy tak proste, że dla ich uzasadnienia nie jest potrzebne a dla ich zrealizowania nie jest pomocne pisanie książek. Nieopatrzna książka w rodzaju „Sprawy polskiej" może owszem spotęgować nerwowość społeczeństwa, pomnożyć objawy demoralizującego ogół lojalizmu, przyczynić się do wybuchu jakiejś lokalnej ruchawki, która może leżeć w interesie Rosyi i Prus, ale nie w interesie Polski i autora, jednego z najlepszych, śmiemy dodać, najofiarniejszych jej synów.

Czyn publicystyczny niezawsze bywa czynem politycznym. *E. D.*

Wiadomości polityczne.

Prezesura Koła Polskiego.

W sprawie wyboru nowego prezesa Koła Polskiego rozpasała się w obozach naszych żywiołów t. zw. demokratycznych prawdziwa orgia głupoty i ohydy. Czegośmy nie słyszeli. P. Stapiński sam wysunął swoje wyszargane nazwisko na to najwyższe stanowisko obywatelskie. *Głos Narodu* z bezgraniczną naiwnością pisał, że „wybór demokraty jest zapewniony, dość obojętną jest osoba kandydata". *Nowa Reforma* na wiadomość, że jeden z najznakomitszych naszych parlamentarzystów ma zostać prezesem Koła, pisała o „zgrozie i oburzeniu" oraz o „frymarce spuścizną demokracyi polskiej", czego naprawdę nie można nazwać słabiej niż ostatniem błazeństwem.

W tych warunkach, a zarazem wobec ogólnego nastroju umysłów w dzisiejszem Kole Polskiem, gdzie te demokratyczne żywioły tylko czekają, by rzucić się na konserwatystów, pomawiając ich ciągle o upieranie się przy władzy, najwybitniejsi obecnie członkowie Koła Polskiego, najdoświadczeńsi i najzdolniejsi, pp. Kozłowski, Starzyński, Korytowski, oświadczyli że o stanowisko prezesa nie ubiegają się i wyboru nie przyjmą.

Wówczas ze strony żywiołów demokratycznych już z całym spokojem wysuwano kandydatury p. Stwiertni, popieranego przez część demokratów starych i demokratów narodowych, oraz p. Germana, popieranego przez drugą część demokratów starych i przez ludowców.

Prezesem Koła Polskiego został jednak d. 18. b. m. poseł, którego nazwisko wysunięto w ostatniej chwili, poseł nie należący do żadnej grupy, dr. Stanisław Łazarski. Po niektórych nazwiskach wymienionych dawniej, wiadomość o kandydaturze i o wyborze jednomyślnym posła Łazarskiego wywołała w kraju wrażenie głębokiej i szczerej ulgi. P. Łazarski jest umysłem rozważnym i rozumnym, a szczególnie jako prawnik należy do najlepszych. Jest charakterem nawskroś uczciwym. Jest w życiu politycznem pracownikiem dla narodu a nie dla siebie. Chociaż wybitnym politykiem może nie jest, jednak wstydu nam w Wiedniu nie

przyniesie, a swą rozwagą i uczciwością może zdziałać i na pewno zdziała w dzisiejszych opłakanych i wymagających uzdrowienia stosunkach wiele, bardzo wiele dobrego.

Wybór pos. Łazarskiego był w Kole Polskiem zwycięstwem zdrowego poczucia, że pierwszego stanowiska obywatelskiego nie można oddawać miernotom albo zbyt giętkim charakterom.

W tych sprawach prawdę powiedzieć należy bez osłonek, aby na przyszłość nie było nieporozumień.

P. Stwiernia jest osobistością szanowną jest pracownikiem pożytecznym. Ale krzywdę mu robiono, wysuwając go na stanowisko naczelnego kierownika polityki polskiej w Wiedniu. Sam p. Stwiertnia nie narzucał się, w czas się usunął i zachował w ten sposób należny mu szacunek.

P. German pchany był i sam pchał się na stanowisko prezesa Koła Polskiego o wiele zapalczywiej. Polecany był p. German na to stanowisko już w lipcu u. r. z najgorszej strony, bo przez p. Stapińskiego (por. *Rplta* nr. 37) i już wtedy trzeba było zwracać uwagę, że nie dla p. Germana buława Grocholskich, Jaworskich, Dzieduszyckich, Abrahamowiczów, tych regimentarzy steranych w walkach politycznych. Potem p. German raz tylko wystąpił politycznie, mianowicie w delegacych jesiennych (por. *Rplta* nr. 40—42), a był to występ pożałowania godny, który wykazał, że p. German do ważniejszych spraw politycznych najzupełniej nie dorósł. Przedewszystkiem jednek p. German, który jak nagle został tak nagle przestał być demokratą narodowym, a teraz jest dziwacznie zawieszony między poparciem ze strony p. Bobrzyńskiego i p. Stapińskiego, sprawia niemiłe wrażenie polityka oglądającego się zawsze za tym prądem, który najchyżej wynosi. To też p. Battaglia, kiedy mówił szczerze: „Und dazu der Mann das ist German, Który zna się i na tem i na tem. Bo jest i hof- i demokratem“ (a mówił to ów p. Battaglia z ostatniej szopki krakowskiej), znacznie bliżej był prawdy niż gdy w *Gazecie Wieczornej* (z d. 18. stycznia) upatrywał w swoim kandydacie „największą stosunkowo zdolność do prowadzenia Koła po bezdrożach polityki parlamentarnej“. Niechajże sobie pp. Battaglia i German sami chadzają po politycznych i niepolitycznych bezdrożach wiedeńskich, niechaj i p. Stapińskiego wezmą czasem ze sobą, aby i on się rozerwał, ale co do Koła Polskiego, to już lepiej będzie, jeśli je zdala od bezdroży poprowadzą inni. Niewolno dać uróść legendzie, że to tylko posłowie demokratyczno-narodowi z zawiści zwalczali p. Germana, że to tylko „zajadłość partyjna domagała się przy tej sposobności żeru“, że pozatem p. German miał wybór zapewniony we wszystkich obozach. Nie tak było, ale tak, że w oczach wrażliwszych ludzi w kraju p. German na stanowisko prezesa Koła się nie nadaje.

Ale i w Kole Polskiem zwyciężyły, lepsze popędy i może to ostudzi także na przyszłość różne niewczesne zapały.

Sprawa ks. metropolity Szeptyckiego.

Z pośród pism, które zajęły się poruszoną w ostatnim zeszycie *Rpltej* sprawą związków ks. metropolity lwowskiego z Maxem ks. Saskim, z O. Palmieri'm, ze zjazdami w Welehradzie, jednem słowem z całym najnowszym ruchem na rzecz unii kościołów, dwa tylko wystąpiły z uwagami skierowanemi przeciw wywodom *Rpltej* i osłaniającemi ks. Metropolitę: *Dziennik Polski* (z d. 16. stycznia) i *Diło* (z d. 16. stycznia).

Dziennik Polski wyraził swe wątpliwości w dwu punktach. Pierwsza dotyczy szczegółu. Mianowicie w sprawie ogłoszenia artykułu ks. Maxa w *Dile*, podczas gdy żadno pismo europejskie go nie znało z powodu zniszczenia nakładu, mówi *Dz. P.*: „Niekoniecznie *Diło* otrzymało ów artykuł z pałacu metropolity lub z seminaryum grecko-katolickiego; przecież ukraińcy mają swych zwolenników w Rzymie, między będącymi tam na studyach księżmi Rusinami; jeden z nich mógł posłać do *Diła* artykuł“. O owych księżach ruskich, kształcących się w Rzymie, w spomina także O. Palmieri w swej książce (str. 740) jako o wybrańcach ks. metropolity Szeptyckiego, przeznaczonych właśnie do odrodzenia kleru ruskiego. Jeśli to oni posyłają do bardzo niereligijnego *Diła* artykuły potępione i zniszczone przez Watykan, niezbyt dobrze zapowiada się odrodzenie kleru ruskiego pod okiem ks. metropolity Szeptyckiego. Kto wie zatem czy pomysł obrończy *Dziennika Polskiego* wyda się szczęśliwym w kołach św. Jura. A zresztą, czy będziemy mówić o seminaryum grecko-katolickiem, czy specyalnie o jego wybranych gwiazdach rzymskich, czy o pałacu metropolitalnym, zawsze na jedno wyjdzie: *Diło* ani samo wprost ani przez pierwszego lepszego parocha artykułu ks. Maxa otrzymać nie mogło, ale tylko z najwyborowszych kół duchownych ruskich. I to jest równie smutne jak znamienne. — Druga wątpliwość *Dziennika Polskiego* rozciąga się jednak na cały artykuł *Rpltej*, dotyczy bowiem ostatecznego wniosku, że ks. metropolita Szeptycki, z powodów politycznych, stoi w samym środku najnowszego ruchu na rzecz unii kościoła wschodnio-prawosławnego z rzymskim, ruchu z jednej strony niezdrowego, jak wykazała herezya ks. Maxa, a z drugiej strony zupełnie pozbawionego widoków powodzenia i stanowiącego błyskotliwą a kruchą grę ułud. Na to *Dziennik Polski* powiada: „Naszem zdaniem, to jest zarzut tak ciężki — że trzeba go było o wiele silniej uzasadnić“. Kto wie czy uzasadnienie *Rpltej* nie byłoby wystarczyło *Dziennikowi Polskiemu* i jego czytelnikom, gdyby nie był on z uzasadnienia tego wiele, bardzo wiele, przeoczył. Bo *Dz. P.* twierdzi iż *Rplta* „wyciąga swój ostateczny wniosek“ z tego że „obaj ci kapłani (ks. Max i O. Palmieri) byli gośćmi ks. metropoltty Szeptyckiego“. Takie uzasadnienie rzeczywiście byłoby niezbyt silne. Ale *Dz. P.* przedewszystkiem najzupełniej przeoczył, że nietylko goście ks. metropolity czynni byli w naszym ruchu, ale i on sam mu przodował, bo wszakże on sam przewodniczył na obu zjazdach welehradzkich, o których *Dz. P.* zupełnie zapomiał. A co do gości, to O. Palmieri nie tylko bawił u ks. Szeptyckiego, ale nadto zostawił w swem dziele ślady bardzo wielkiej z nim zażyłości, bo i wynosi go jak nikogo innego i w sprawie stosunków polsko-ruskich podaje twierdzenia na

niekorzyść Polaków a na korzyść Rusinów, twierdzenia na wskróś błędne i jasno wskazujące, że udzielono mu wiadomości nieprawdziwych, tendencyjnych, czego wszystkiego *Dz. P.* znowu zupełnie nie zauważył. Uzasadnienie *Rpltej* to proste zestawienie niezbitych faktów: ks. Max przed ogłoszeniem swych herezyi spędził kilka tygodni u ks. metropolity Szeptyckiego i zajmował się tu właśnie sprawą unii; O. Palmieri, który ma już w zarodku poglądy posunięte następnie przez ks. Maxa aż do herezyi, jest bardzo ściśle związany z ks. metropolitą Szeptyckim; na zjazdach welehradzkich na których ten sam duch panował, przewodniczył ks. metropolita Szeptycki; nowy ten ruch kierowany przez ks. metropolitę Szeptyckiego, kopie dołki pod duchowieństwem polskiem i wogóle szerzy pojęcia ujemne o narodzie polskim; nadzieje Rzymu, przywiązywane do unii, mogą wzmóc tam wpływy ks. metropolity Szeptyckiego, ale polegają na złudzeniach bez żadnej podstawy rzeczywistej. Czy to nie wystarcza?

Diło zrobiło co mogło dla osłabienia niekorzystnego rozgłosu, który powstał około osoby ks. metropolity Szeptyckiego. Zaczyna *Diło* od stworzenia odpowiedniego nastroju, zapewniając, że „*Rzeczpospolita* została założona specyalnie dla walki przeciw Rusinom". Następnie streszcza *Diło* artykuł *Rpltej*, bardzo blado i pobieżnie, prześlizgując się cichutko poprzez wszystkie bardziej namacalne dowody. Co do ogłoszenia artykułu ks. Maxa w *Dile*, przypomina ono, że zamieściło „wyraźną notatkę o zabiegach osób blizkich metropolicie celem powstrzymania druku tego artykułu w *Dile*". Notatki tej nie zauważyliśmy, szkoda, bo bylibyśmy z nej chętnie skorzystali, jako z wcale znamiennej. Ale i teraz jeszcze możemy *Diłu* poradzić, aby w podobnych wypadkach raczej nie pisało wogóle, że ogłasza coś, chociaż osoby blizkie i t. d., bo to nie jast najlepszy sposób. Wreszcie pod koniec swego artykułu *Diło* stara się obrócić sprawę na opak. Mianowicie zatrzymuje się *Diło* przy zdaniu *Rpltej*, że obecny ruch na rzecz unii kierowany przez ks. metropolitę Szeptyckiego jest „grą religijno-polityczną dla kościoła wręcz niebezpieczną". I pyta się *Diło* (opuściwszy zresztą wyrazy „dla kościoła", bo w cytowaniu jest ono bardzo swobodne): „Dla kogo niebezpieczną?" Pyta się, aby odpowiedzieć, że jedynie dla Polaków. Bo *Diło*, ot tak z głupia frant, zapomina w tej chwili zupełnie, że to nie Polacy ale papież potępił herezye ks. Maxa, ściśle związane z tym nowym ruchem, że to nie o Polskę, ale o Kościół chodzi, gdy ks. Max rezygnuje z supremacyi papieża i z dogmatów o Duchu Św., o czyśćcu, o Niepokalanem Poczęciu, albo gdy O. Palmieri dość lekko nazywa te dogmaty twierdzeniami teologicznemi, albo gdy zjazdy w Welehradzie idealizują prawosławie, a wszystko to pod kierunkiem ks. metropolity Szeptyckiego. Dla Kościoła, wedle *Diła*, nie jest to niebezpieczne, tylko dla Polski. I tu *Diło* stara się nakręcić ku twierdzeniu, że Polacy są wogóle przeciwni wszelkiej myśli o unii kościołów. W tym celu z największą radością przytacza z *Rpltej* rozstrzelonym drukiem i w cudzysłowie zdanie o „niezbezpiecznym ruchu do unii ruskiego (sic: „ruskoj" a nie „rosijskoj") kościoła z zachodnim". I dodaje *Diło*: „Trzeba być wdzięcznym za to przyznanie; i trzeba je zapamiętać". Przy tej sposobności będzie jednak dobrze jeszcze i coś innego zapamiętać, mianowicie, że takiego zdania w *Rpltej* zupełnie niema (ani co do kościoła ruskiego, co nie ma żadnego sensu, ani co do rosyjskiego), a ukuło je sobie samo *Diło*. W dalszym ciągu zaś *Diło* objaśnia, że Polacy dlatego są zasadniczymi przeciwnikami unii, bo na całym wschodzie „Rusinom. Biłorusinom, Litwinom polskie rzymsko-katolickie duchowieństwo razem z rzymsko-katolicką wiarą narzuca polską narodowość". A jednak wszyscy oni polskiego języka nie zaznali i pozostali jakoś Rusinami, Białorusinami, Litwinami. Jako jedyny przykład historyczny podaje *Diło*, że „rosyjski rząd, znosząc unię w Chełmszczyźnie, puszczał wodę na polski młyn, naganiał w polski obóz milion niepolskiej ludności". Przykład rzeczywiście znakomity. Bo oto właśnie Polacy całą siłą i do upadłego bronili unii w Chełmszczyźnie i na Podlasiu, a głównymi pomocnikami rządu byli księża ruscy z Galicyi, przyjmujący sami i narzucający ludowi prawosławie. Stąd nauka historyczna, że Polacy nie chcieli i nie chcą unii i że zniesienie jej przez rząd rosyjski było wodą na ich młyn. Tak to poważnie i tak to sumiennie przedstawia się obrona ks. metropolity Szeptyckiego w *Dile*.

Prawda p. Loewensteina.

W ostatnim zeszycie *Rpltej* (nr. 45 str. 9), w stałej naszej rubryce p. t. „Sprzedawczycy", w której od chwili założenia pisma podajemy w miarę wiadomości wszystkie wypadki sprzedaży ziemi polskiej w obce ręce we wszystkich zaborach, znalazło się także, obok dwu innych, nazwisko p. Natana v. Loewensteina posła na na Sejm i do Rady państwa.

P. Loewenstein zamieścił w *Słowie Polskiem* (z d. 14. stycznia), które poprzednio (d. 12. stycznia) przedrukowało notatkę *Rpltej*, następujące sprostowanie:

„Połowę majętności Firlejów II. część nabyłem w roku 1905 od p. Izaka Diamandsteina, pragnąc w porozumieniu z współwłaścicielem pozbyć grunty ekonomiczne do tych dóbr należące, zaś obszar leśny majątku przyłączyć do dóbr moich Dusanów. Gdy okazało się, że przyłączenie gruntu leśnego Firlejowa do dóbr moich Dusanów byłoby ze stanowiska rentowności niepożądane i tylko dalszym ciężarem tych dóbr, sprzedałem część majętności Firlejów czysto lasową, pozostałą po wyłączeniu gruntów ekonomicznych — mojemu dzierżawcy p. Adlerowi, który liczył na karczunek części obszaru tych lasów. Uzyskanie zezwolenia władzy politycznej na karczunek okazało się jednak niemożliwe, a wskutek tego na prośbę p. Adlera zwolniłem go z kupna z tem, że zgodziłem się, że w jego miejsce wstąpią przedstawieni mi przez niego pp. Markus i tow., z a w o d o w i k u p c y d r z e w n i, co do których chyba żadnych podejrzeń mieć nie mogłem, czy las istotnie dla drzewa kupują. Grunty ekonomiczne sprzedałem istotnie na parcelacyę, ale w r ę c e p o l s k i e, jakkolwiek ze strony ruskiej ofiarowano mi cenę o kilkanaście tysięcy wyższą. Nadto odstąpiłem zupełnie bezpłatnie na cele kulturalne g m i n y p o l s k i e j dość znacznej wartości budynek murowany, mieszczący dawniej karczmę.

Z dóbr Dusanów nie sprzedałem ani morga, a podejrzenie jakobym wprost albo pośrednio chciał uprawiać parcelacyę ruską, odpieram stanowczo.

Na uwagę końcową notatki „Rzeczpospolitej“ nawiązującą do sprawy rydzyńskiej, mam tylko jedną odpowiedź, za którą odpowiedzialność przyjmuję, że jest nikczemną insynuacyą. Sprawa rydzyńska ma być w najbliższych dniach przedmiotem obywatelskiego sądu w Poznańskiem. Wtedy się dowie ostatecznie społeczeństwo o istotnym jej przebiegu i prawdziwym stanie. Mój zaś udział w tej sprawie z całym spokojem naówczas oddam nawet pod sąd mych wrogów.

Z poważaniem dr. Natan Loewenstein“.

W odpowiedzi na to sprostowanie, *Rplta* oświadcza niniejszem, że jej notatka była prawdziwa w całej osnowie i że nie cofa z niej ani jednego słowa.

1. Sprawa Firlejowa. *Rplta* napisała: „P. Loewenstein sprzedał dobra Firlejów cz. II. w pow. rohatyńskim obszaru 500 morgów spółce parcelacyjnej żydowskiej, która już koło 100 morgów rozparcelowała między Rusinów“. Wszystko, co mówi o tej sprawie p. Loewenstein to są krążenia naokoło rzeczy, jakieś niejasne pół-przyznania a pół-usprawiedliwiania się, że „podejrzeń mieć nie mógł“, a wszystko razem ma wywołać wrażenie, że *Rplta* napisała nieprawdę. Otóż to wszystko pozostanie na boku: Markus czy nie Markus, leśne grunty czy nie leśne, karczma oddana bezpłatnie gminie polskiej czy nie (gmina jest mieszana z przewagą Rusinów) to jest dobre dla adwokackich sprostowań. Ale jedyne twierdzenie *Rpltej* i jedyne istotne pytanie w tej sprawie brzmi: czy nabyte przez spółkę żydowską od p. Loewensteina grunty zostały w ilości około 100 morgów rozparcelowane między Rusinów czy nie? Otóż zostały. Oto nazwiska niektórych nabywców Rusinów, zebrane przez nas na miejscu: 1. Iwan Kiczuła, 2. Dmytro Kryweń, 3. Hryńko Myron, 4. Stach Kaczała, 5. Hryńko Bojko, 6. Mychajło Brudny, 7. Stach Brudny, 8. Stefan Kryweń, 9. Stach Olejnik, 10. Andrij Kaczała, 11. Hryńko Pasternak, 12. Iwan Zanewycz. Do tych nazwisk należy dodać jeszcze dziesięciu lub więcej Rusinów z sąsiedniej czysto ruskiej gminy Korzelic, którzy także nabyli grunty po-loewensteinowskie. Nabywali te grunty także i Polacy, jakoto Marcin Widocki, Józef Machowski, Jan Brzeziński, Marcin Szymański, Michał Kuźniar. Ale też nikt nie twierdził, że p. Loewenstein zawziął się na parcelowanie wyłącznie między Rusinów, ale to że pewna część jego gruntów poszła w ręce ruskie. I chociażby nawet p. Loewenstein znowu sprostował, że któremuś z tych Rusinów jest na drugie imię Hryńko a na pierwsze Mychajło, jednak to, że grunty p. Loewensteina poszły w ręce ruskie, pozostanie faktem niezbitym a smutnym.

2. Sprawa Dusanowa. *Rplta* napisała: „Dowiadujemy się nadto, że tenże p. Loewenstein, zachęcony korzystną tranzakcyą z Firlejowem, zamierza parcelować znaczniejszy obszar leśny z kompleksu dóbr Dusanów w pow. przemyślańskim, na co otrzymał już pozwolenie karczunku; można mieć nadzieję, że p. poseł znowu poszuka pośrednictwa owej spółki żydowskiej“. *Rplta* napisała, że p. Loewenstein „zamierza“ sprzedawać i że uzyskał pozwolenie karczunku, co jest prawda, a p. Loewenstein prostuje, że nie sprzedał. Znowu odwrócenie i ominięcie sprawy. Otóż po doświadczeniach z Firlejowa, wolno pismu polskiemu niepokoić się już przed faktem, a nie dopiero po fakcie To, że p. Loewenstein daleki jest od tego, aby chciał wprost lub pośrednio uprawiać parcelacyę ruską, to nie wystarcza. Bo p. Loewenstein nie chce, a tymczasem w księgach gruntowych zapisane jest, zgodnie z smutną prawdą, naprzód p. Natan Loewenstein, potem Markus i sp., a potem Iwan Kiczuła i t. d. Właśnie tak jak w Poznańskiem naprzód p. Dobrypolak, potem p. Minderpolak, a potem Komisya kolonizacyjna. Otóż tu nie wystarczy nie chcieć parcelować między Rusinów, lecz trzeba chcieć, mocno chcieć nie puścić między Rusinów i dobrze to zabezpieczyć.

3. Końcowa uwaga notatki *Rpltej* brzmiała: „Czyżby p. Loewensteinowi niedość było laurów rydzyńskich, czy też może owe tranzakcye mają zwiastować likwidacyę interesów w Hinterlandzie?“ Niewiadomo, o którą z dwu spraw poruszonych w tem zdaniu chodzi p. Loewensteinowi. Jeśli o Rydzynę, to *Rplta* napisała o tem nie dwa wyrazy, jak tutaj, ale dwie szpalty w nr. 43 a trzy, i to właśnie o p. Loewensteinie, w nr. 44, a było to dosyć znane, bo nawet odczytane w krakowskiej Radzie miejskiej. Były tam rzeczy cokolwiek mocniejsze i szczegółowsze niż wzmianka o laurach rydzyńskich, więc na nią dopiero nie było co czekać, aby się oburzyć. A może p. Loewensteinowi chodzi o pytanie co do Hinterlandu. Ale to trudno, ile razy ktoś zbyt lekko będzie sobie poczynał z ziemią polską, zawsze będziemy pytali, czy z nią zrywa, zawsze będziemy o tem mówili dotkliwie.

Książki, broszury, wydawnictwa.

Dr. Marya Polaczkówna: *Michał Wiszniewski* (1830—1848) Kraków, 1910, str. 107 i 2 fot.

Okres ten wypełnia praca nauczycielska Wiszniewskiego w Rzeczypospolitej Krakowskiej. Jako filozof, historyk i wydawca pomników literatury polskiej, mimo wszelkie błędy metody, nie przynosi ujmy Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Gdy w jednym zaborze wszechwładnie rządził Paskiewicz, w drugim wykonawcy systemu Metternicha, a najlepsza krew Polski spłynęła ku zachodnim organizmom państw europejskich, tylko w Wielkopolsce i na skrawku otaczającym miasto Kraków pracowano w znośnych jeszcze warunkach nad zaspokojeniem bezpośrednich potrzeb cywilizacyjnych narodu. A wysiłek ten, jakkolwiek był dalekim od emigracyjnych wzlotów, nie szedł na marne, bo wszak podnosił żyzność rodzimej gleby. I tylko w chwilach przełomu, wśród wielkich nieszczęść krajowych na jaw występowało, że ludzie ci nie z rodu orłów się wiedli. Tak było i z Wiszniewskim. U wstępu i u schyłku tej epoki rzucony był w wir wypadków, którym sprostać brakło mu siły, chociaż sam się wysuwał w pierwsze szeregi. Wysłany po wojska do prowincyi zabranych, w grudniu 1830 roku, nie czekając i końca strasznego zmagania się z carstwem Królestwa, w Krakowie osiądzie, skąd go wyrzuci dopiero rewolucyjna 1846 roku fala po kilkogodzinnej dyktaturze, na peł-

ny już odpoczynek, na genueńskim złotodajnym brzegu.

Opracowanie robi wrażenie bardzo samodzielnego, tak w samem założeniu przez oparcie na krajowych źródłach rękopiśmiennych jak w szczegółach, chociażby drobnych, aż do własnej interpunkcyi. Porządkujące się archiwum namiestnictwa i zbiory prywatne może rozszerzą materyał, ale książka zachowa trwałą wartość. Wstrzemięźliwość w słowach i wnioskach jest tak wielka, że chwilami nawet zdaje się jakby praca, poza bezpośrednimi rezultatami naukowymi, miała na celu dowieść wogóle praw tego młodego pokolenia kobiet do tak ścisłych badań. I niewątpliwie mogłaby służyć jako argument silniejszy niż liczne na ten temat dyskusye. Możnaby nawet więcej powołać przykładów, i to nie tak dawne wspomnienie, gdy w seminaryum historycznem uniwersytetu lwowskiego kobiety zdolnościami wybiły się na plan pierwszy. Ale też dzisiaj winny z większą już swobodą postępować tą drogą i odtwarzając przeszłość, czerpać mądrość nie w samych już tylko dokumentach. Bo są momenty, do których ujęcia brak dzisiaj i zawsze brakować będzie pisemnych świadectw epoki. I bodaj sa one najważniejsze, bo w nich często wyraża się najistotniejsza treść człowieka. Takimi n. p. były w życiu Wiszniewskiego epizody roku 1830 i 1846. Aby je wytłómaczyć, trzeba się odwołać do świadectwa własnej duszy, do własnych doświadczeń wewnętrznych, i wtedy też intuicya kobieca podszepnie niejedno zagadki słowo.

Marceli Handelsman: *Studya historyczne* — Warszawa, Wende i S-ka, 1911 str. 309 + 2.

W skład studyów weszły następujące prace: Zamach stanu Augusta II; Materyały do dziejów wsi polskiej; Konstytucya 3. maja roku 1791 a spółczesna opinia publiczna we Francyi; Z dziejów Księstwa Warszawskiego; Geneza Księstwa i jego statutu; Sejm roku 1809 w oświetleniu urzędowem francuskiem; Szkice krytyczne (Litkup, Prawem i lewem). Na czoło wysuwają się prace z historyi Księstwa Warszawskiego napisane na podstawie nadzwyczaj sumiennych, wszechstronnych poszukiwań archiwalnych. Były one po części ogłoszone przez autora w języku francuskim, w polskiem wydaniu przydał im jednak wiele nowego materyału źródłowego pierwszorzędnej jakości. Zdobią je podobizny medali ku czci Napoleona z r. 1807 i ostatniej karty konstytucyi Księstwa.

La politique budgétaire en Europe. Les tendances actuelles. Allemague, France, Grande-Bretagne, Empire ottoman, Russie. — Paryż, Alcan, 1910, str. XXIII. i 316.

Na pięciu zebraniach urządzonych staraniem Towarzystwa byłych uczniow wolnej Szkoły nauk politycznych w Paryżu, wiosną roku bieżącego, omawiano politykę finansową dwu mocarstw zachodu bezpośrednio i przeważnie wpływających na losy Francyi, oraz dwu innych najdalszego europejskiego wschodu, które zdawna przywykły obficie czerpać z zasobów III republiki, by własne leczyć niedomagania poczęte w błędach administracyi i wojnach nieszczęśliwych. Z budżetu niemieckiego podał cyfry bankier Henryk Gans, a wnioski z nich wysnuł profesor Jerzy Blondel. O biedach Turcyi prawił radca skarbowy rządu ottomańskiego Karol Laurent, zaś dawny wezyr Hussejn Hilmi-pasza rozważał nadzieje najbliższej przyszłości. O przesileniu w Anglii mówił dyrektor jednej z instytucyi kredytu przemysłowo-handlowego Karol Picot, a były minister Andrzej Lebon podkreślił istotne znaczenie przełomu dzisiejszego w państwie brytyjskiem. Artur Raffałowicz, agent do popierania rosyjskich pożyczek na targu francuskim, rzucił błyskotliwe cyfry mające wyrażać siłę ekonomiczną imperyum carskiego, a stary Loubet grzecznie mu potakiwał. Wreszcie profesor Szkoły Rafał Jerzy Lévy zsumował ogólne wyniki wykładów. Są one ze wszech miar ciekawe.

Wydatki państwowe Europy w ostatniem dwudziestopięcioleciu XIX wieku, między 1875 a 1900 rokiem, wzrosły z 11 na 25 miliardów, gdy liczba mieszkańców z 312 podniosła się na 392 milionów. Ten wzrost rozchodów szczególnie jest groźny dla państw, których ludność, jak we Francyi, nie podnosi się wcale, ale niebezpieczny jest nawet dla kwitnących Niemiec, gdzie dług państwowy z 72 milionów marek w roku 1878 podniósł się w r. 1891 na miliard 317 milionów, w dziesięć lat potem na 2 miliardy 395 milionów, a w roku ubiegłym osiągnął cyfrę 4 miliardów 525 milionów. Tłómaczy się to wydatkami na zbrojny pokój i ogromnem rozszerzeniem sfery działania państw nowożytnych. Armia cesarstwa niemieckiego kosztowała w latach 1872—1875 przeciętnie 324 milionów, zaś w r. 1906 — 752 milionów, a w r. 1908 — 855 milionów marek; budżet floty z 36 milionów marek urósł w roku bieżącym na 443. Anglia czterema miliardami kosztów wojny transwalskiej, która więcej pochłonęła nakładu niż starcie Rosyi z Japonią, gwałtownie powiększyła dług państwowy, ogromny od czasów koalicyi przeciw Napoleonowi, ale w ciągu lat sześciu niesłychanym w dziejach polityki finansowej wysiłkiem spłaciła miliard sto milionów franków. Mimo to wszakże budżet brytyjski nie wrócił do dawnych wymiarów. Gdy w roku 1849 zawierał się w cyfrze 1,364 milionów franków, na rok 1909 doszedł do 4,075 milionów. W tym zaś czasie stale tak liberalna jak konserwatywna partya zmniejszały podatki od wytworów potrzebnych dla mas ludowych. Więc gdy w r. 1849 od cukru płacono 119 milionów franków, w r. 1909 tylko 79, od kawy zamiast 18 tylko 5, ze zboża i mąki zdjęto zupełnie dawną opłatę 19 milionów; podniesiono natomiast opłatę od spirytusów z 196 na 535, od tytoniu z 109 na 345 i t. d., ale w tej podwyżce trzeba uwzględnić znaczny wzrost konsumcyi przy mnożącej się ludności w ciągu pół wieku (w r. 1849 — 27,236.000, w r. 1909 — 44,538.000). Jest to pięknym rysem arystokracyi angielskiej i najlepszym dowodom jej rozumu, że rządy swoje gotowa była zawsze opłacać wielkiemi ofiarami pieniężnemi. Koszta wojen, wydatki na cele społeczne spoczęły na barkach warstw zamożnych. Podatek od spadków po-

dniósł się w rzeczonem pięćdziesięcioleciu z 54 na 459 milionów, t. zw. *income tax* (podatek dochodowy) z 140 na 848, podczas gdy wartość majątków nie podniosła się jak o 123 na 100, a dochodu o 159 na 100. Trzeba też pamiętać, że spadki wynoszące mniej niż 2.500 franków uwolniono od podatku przenośnego, gdy tymczasem we Francyi płaci się od pierwszego franka począwszy. Tak było aż po miesiące ostatnie. Kiedy jednak wzrost wydatków państwowych nie ustaje, gdy w budżet roku 1909 wypadło wstawić 400 milionów na budowę okrętów, 225 na ubezpieczenia na starość i t. d., arystokracya angielska osądziła, że dalszemu wzmożeniu podatków nie podoła swemi siłami, że będą się one równać częściowej konfiskacie jej majątków. I na tem tle powstało przesilenie. Po pierwszych wyborach, w których liberali utrzymali choć zmniejszoną większość, izba lordów przyjęła budżet, ale spór się odnowił już o same podstawy ustroju politycznego Anglii. Partya konserwatywna przyjęła do swego programu, choć nie bez wahań i zastrzeżeń, projekt dawnego ministra kolonii Chamberlaina wprowadzenia ceł ochronnych dla pokrycia nowych wydatków i obrony przed konkurencyą niemiecką. Są to hasła, obok autonomii irlandzkiej najgłośniejsze, w dobie obecnej.

Mniej zajmują nas sprawy Turcyi i Rosyi w przedstawieniu referentów Szkoły nauk politycznych. Bo oto o pierwszych niewiele ma się pewnych danych; w braku statystyki nawet obszar i ludność oznacza się tam tylko zapomocą domysłów. Zaś o gospodarce finansowej Rosyi mówi się we Francyi zawsze jeszcze nieszczerze.

Przy ludności mniej więcej 27 milionowej na obszarze 3 milionów kilometrów kwadratowych parlament ottomański obliczył dochody na rok 1326 (od 14. marca 1910 do 13. marca 1911) na 589 milionów franków, a rozchody na 690. Pierwszy ten budżet jest ogromnym krokiem naprzód w kierunku ładu wobec dotychczasowego nierządu. Dotąd każda gałąź administracyi żyła odrębnie i gdy n. p. dyrekcya poczt wznosiła sobie jeden z najokazalszych gmachów, sąsiednie ministeryum finansów chyliło się ku ruinie. Przy małych wymaganiach ludności rubryki budżetowe są nader proste i cała sztuka polega na układach z wierzycielami, którzy liczne zdobyli sobie prawa. Nie mają ich w Rosyi, bo ta jeszcze imponuje budżetem 7 miliardów, jakkolwiek pożyczki zagraniczne stały się tam chlebem powszednim. Płacą też Moskale 1,087 milionów fr. rocznie procentów od tych długów. Ostatni urodzaj dopomógł im trochę, ale za rok zapewne, jak zwykle, z wiosną nowe afisze na ulicach Paryża zapraszać będą do subskrypcyi na nową zaliczkę; w ten sposób od dłuższego czasu francuscy wierzyciele sami sobie płacą procenty.

Na koniec parę cyfr z budżetu Francyi. Nieprawa dziedziczka chwały Napoleona I-go, III republika przestała mówić o odwecie za wojnę ostatnią. Wszak ma tylko 39 milionów mieszkańców w stosunku do 65 milionów zjednoczonych Niemców. Przecież nie jest szczęśliwą w swej nieco anarchistycznej wolności. Dźwiga ciężar 4 miliardów, 186 milionów rocznego wydatku, w tem 872 na armię lądową a 376 na marynarkę, które się równocześnie rozprzęga głupią propagandą. A ileż z wyników rzetelnej pracy i geniuszu narodu francuskiego marnotrawi się w pożyczkach sprzymierzeńczych. I stąd to bolesne zmęczenie społeczeństwa żyjącego dobrobytem dnia dzisiejszego i wspomnieniami przeszłości a bez pewnego jutra.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Sejmowa reforma wyborcza. Na posiedzeniu sejmowej komisyi reformy wyborczej, odbytem dn. 17. b. m. prezesem komisyi wybrano 18 głosami na 23 głosujących dr. Juliusza Leo, zaś referentem komisyi 13 głosami dr. Stanisława Starzyńskiego.

Z życia stronnictw. W dniu 15. b. m. odbyło się zgromadzenie stronnictwa prawicy narodowej poświęcone obecnej sytuacyi politycznej w Wiedniu. Dyskusya, którą zagaił prof. Wł. L. Jaworski, wykazała, jak pisze *Czas*, że aczkolwiek „polityka Koła Polskiego w ostatniej dobie spotykała się prawie z jednomyślną krytyką, jednak uchodzić może za jednolitą i stanowczą opinię całego stronn. prawicy uznanie konieczności jak najsilniejszego popierania obydwu ministrów polskich w obecnym gabinecie“.

Niemcy na Śląsku. W Opawie utworzyło się stowarzyszenie niemieckie „Nordmark“, celem zebrania drogą ofiar sumy 200 tys. K dla wykupowania z rąk polskich i czeskich gospodarstw w tych okolicach Śląska, gdzie Niemcy są w mniejszości. Dotychczas już zdołano zebrać 50 deklaracyi na łączną sumę 5.000 K.

Macierz Szkolna na Śląsku. Macierz Szkolna w Cieszynie obchodzi w r. b. 25-tą rocznicę istnienia. W ostatnim roku Macierz założyła: gimnazyum realne w Orłowej, szkoły w Pietwałdzie i Ostrawie Polskiej, ochronki w Lutyni i Małych Kończycach, szkoły rzemieślnicze w Orłowej i Cieszynie. Do 10 szkół Macierzy uczęszczało w r. z. 1855 dzieci, nadto w 2 bursach przebywało 114 uczniów i w cieszyńskiej szkole żeńskiej 32 dziewcząt.

Ś. p. Stanisław Piniński. W dniu 12. b. m. zmarł we Lwowie Stanisław hr. Piniński, marszałek Rady powiatowej skałackiej, b. poseł do Rady państwa, ogólnie ceniony dla swej pracy obywatelskiej, wiedzy i prawości charakteru. Urodzony w r. 1854, po ukończeniu studyów wstąpił do służby politycznej, którą zakończył jako radca dworu w ministeryum spraw wewnętrznych, gdzie miał przydzielony sobie departament galicyjski i na tem stanowisku wiele włożył pracy dla dobra kraju.

Winowajcy rydzyńscy w Galicyi. Krakowska Rada miejska, której członkiem jest p. A. Wodzicki, na posiedzeniu d. 12. stycznia uchwaliła na wniosek p. Daszyńskiego, poparty przez wielu innych radnych z różnych obozów, następujący wniosek: „Rada miasta uchwala: wybiera się komisyę złożoną z prezydyum i przewodniczących sekcyj celem rozpatrzenia zarzutów, podniesionych przez rad. Daszyńskiego przeciw rad. hr. Wodzickiemu w sprawie majoratu rydzyńskiego“. Zaczynają się zatem obrachunki. Jak p. Wodzicki krakowskiej, tak p. Loewenstein jest członkiem Rady miejskiej lwowskiej. A przedewszystkiem obaj są członkami Polskiego Koła Sejmowego.

Z zaboru rosyjskiego.

Język rosyjski na kolejach. Ministeryum komunikacyi poruszyło sprawę używania jęz. rosyjskiego na kolejach żelaznych w Królestwie i w tym celu wydelegowało specyalną komisyę złożoną z przedstawicieli kilku ministeryów tudzież władz admini-

stracyjnych w Królestwie. Jak wiadomo prywatne koleje żel. w Królestwie używają okok języka rosyjskiego także jęz. polskiego, co prawdopodobnie owa komisya postara się na zasadzie rozmaitych „wyjaśnień“ skasować.

Dla szkół polskich. Zmarły w październiku r. z. w Kijowie śp. Maurycy Kożuchowski zapisał cały swój majątek na rzecz szkół ludowych polskich w gub. warszawskiej pod warunkiem jeżeli wykład w tych szkołach odbywać się będzie w jęz. polskim. W przeciwnym razie legat, wynoszący około 300 tys. rubli, ma być przekazany krakowskiej Akademii Umiejętności.

W obronie ludności rosyjskiej. Ministeryum spraw wewnętrznych wniosło do projektu reformy gminnej na Litwie i Rusi następujące poprawki, mające zabezpieczyć interesy ludności rosyjskiej: 1) członkowie wspólnot gminnych wybierają radnych gminnych oddzielnie od właścicieli prywatnych, 2) gminne zebrania wyborcze dzielą się na kurye narodowościowe. Projekt ministeryum został zaakceptowany przez Radę ministrów.

Katecheta w szkole postępowej. Istniejące w Warszawie Tow. kultury polskiej, utrzymywane przez t. zw. postępowców z p. A. Świętochowskim na czele, prowadzi swoją szkołę średnią. W szkole tej katechetą jest niejaki ks. Adalbert Dynia zasuspendowany przez biskupa kieleckiego za nałogowe pijaństwo a zatwierdzony na tem stanowisku bez zgody konsystorza przez inspektora szkół warszawskich p. Nazarjewskiego. Na czynione w tej sprawie dochodzenia Arcybiskup warszawski otrzymał od kuratora odpowiedź, że inspektor postąpił prawidłowo, bo prawo obsadzania katechetów nie należy do konsystorza, co się zaś tyczy nałogów ks. Dyni to pan kurator poczynił zarządzenia, aby katechety nie wpuszczano do klasy w stanie pijanym.

Z zaboru pruskiego.

W Landtagu. W dniu 10. b. m. kanclerz Bethmann-Hollweg otworzył obrady Landtagu mową tronową, w której mówił o poprawie finansów krajowych, o rozszerzeniu sieci kolei państwowych, o reformie administracyi, wynikach kolonizacyi i o potrzebie rozwoju szkolnictwa. Orędzie nie wspomina o nowym projekcie reformy wyborczej ani też o stosowaniu ustawy o wywłaszczeniu.

W Reichstagu. Na posiedzeniu w dniu 11. b. m. w dyskusyi nad preliminarzem budżetowym z roku 1909 zabrał głos imieniem Koła Polskiego pos. Seyda i zaprotestował przeciw wydatkowaniu z funduszu dyspozycyjnego kanclerza 3 tys. mk. na urządzanie wycieczek z Niemiec południowych w Poznańskie dla zwiedzenia postępów kolonizacyi. Dnia 12. b. m. Reichstag obradował nad wnioskiem Koła Polskiego w sprawie złagodzenia § 130 kodeksu karnego, dotyczącego podburzania do gwałtów publicznych, który bywa zazwyczaj stosowany do prasy polskiej i mowców wiecowych. Wniosek uzasadniał pos. Dziembowski. Za wnioskiem przemawiał socyalista Stadthagen. Centrum nie poparło wniosku, który też w głosowaniu został większością odrzucony.

Koło Polskie. W dniu 9. b. m. odbyły się wybory prezydyum Koła Polskiego w Landtagu. Pos. Korfanty wystąpił z ostrym atakiem przeciw ks. Jażdżewskiemu za jego stanowisko w sprawie apanaży królewskich. Prezesem Koła wybrano nieznaczną większością ponownie ks. Jażdżewskiego, zastępcą p. K. Chłapowskiego, sekretarzem dr. Niegolewskiego.

Nowy Patron. Na nadzwyczajnym walnym sejmiku Związku Spółek zarobkowych kierownictwo Związku oddano w ręce X. Stanisława Adamskiego. Nowy patron od wielu lat bierze wybitny udział w pracy narodowej zab. pruskiego, głównie w sferach robotniczych; będąc sekretarzem Związku katolickich towarzystw robotniczych założył sto kilkadziesiąt stowarzyszeń, obejmujących już około 30 tys. członków. Nadto przez lat kilka był redaktorem *Ruchu chrześcijańsko-społecznego* i w wielu sprawach zastępował ś. p. X. P. Wawrzyniaka.

Żydzi na ziemiach polskich.

Żydzi wobec kooperatyw polskich. Niedawno gazety żydowskie stwierdziły fakt, że w małych miasteczkach w Królestwie rabini pod groźbą wyklęcia nie pozwalają żydom na wynajmowanie sklepów kooperatywom polskim, które z natury rzeczy wypierają drobnych kramikarzy żydowskich. Wychodząca w Warszawie gazeta hebrajska *Hazman* uważając środek ten za niewystarczający wzywa hurtowników żydowskich do nieudzielania kredytu sklepom współdzielczym, przez co dosyć naiwnie spodziewa się ich zrujnowania. „Gdy żydzi — pisze *Hazman* — przestaną im kredytować, a sklepy będą musiały kupować za gotówkę, to nie będą one mogły istnieć i jeden za drugim upadnie; jeżeli zaś będą chciały sprowadzać towary ze stron dalszych, to koszta przewozu nie wytrzymają kalkulacyi“.

Żydzi wobec spisu ludności. Nie można jeszcze przesądzać, jak ogół ludności żydowskiej w Galicyi wypełnił rubrykę o jęz. potocznym konskrypcyi. W prasie krajowej pojawiły się już jednak pozytywne liczby, świadczące, że agitacya syonistyczna, o której wspominaliśmy niedawno, nie pozostała bez skutków. W Krakowie n. p. na 35 tys. żydów około 6.000 podało w listach język „żydowski“. W wielu miastach wobec grzywien nakładanych przez magistraty i starostwa na podających jęz. żydowski, wpisywano jęz. niemiecki. Dochodzą nadto wiadomości, że i po wsiach nie brakło żydów, którzy przy konskrypcyi podali za język potoczny albo żargon, albo język niemiecki lub ruski. Czy ich liczba jest tak znaczna, że może zaważyć na szali, okaże się po ogłoszeniu wyników konskrypcyi.

Żydzi przeciwko cechom. Grupa rzemieślników żydowskich w Warszawie wysłała do komitetu organizującego zjazd rzemieślniczy w Petersburgu petycyę, w której utyskuje, że ze względu na panujące w cechach stosunki żydzi nie mogą wysłać swego delegata na zjazd, i żąda od zjazdu rozpatrzenia położenia żydów-rzemieślników w Królestwie Polskiem.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.